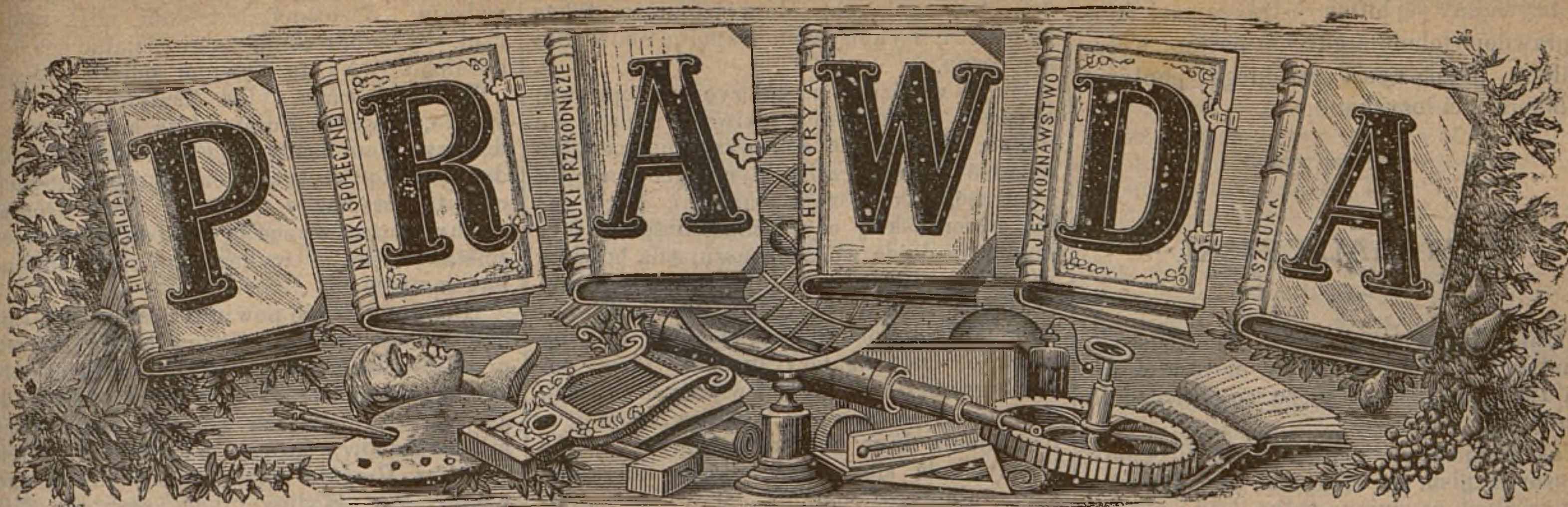
№ 37. Warszawa, dnia 15 (3) Września 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

DWA OBOZY.

Do niedawna jeszcze czesi uchodzili za jednorodną masę polityczną, która walczy o swe prawa narodowe zbitą razem gromadą, słuchając jednej komendy. Stawiano ich nawet za wzór harmonii i zgody. Nagle ten spoisty pień rozdarł się na dwie odnogi, które z przeciwnych stron uderzyły na siebie. Dziś widzimy wrogo ku sobie usposobione i niezawieszające broni dwa obozy: „starych" pod hetmaństwem Riegera i „młodych" pod dowództwem Ed. Gregra. Wielokrotnie czynione wysiłki zawarcia umowy na warunkach ustępstw wzajemnych spełzły bezskutecznie, utarczki trwają dalej, co czas pewien rozwijając się w wielkie bitwy. Jedno z takich starć na całej linii toczy się obecnie. Przywódca młodoczechów zwołał do Piszeli wiec ze swych współwyznawców, na którym zwrócono ku przeciwnikom i spojonemu z nimi rządowi działa najcięższego kalibru. Z kolei mają się zebrać „starzy" i odeprzeć atak.

O co chodzi? Dążenia i przeciwieństwa obu stronnictw streszczają się w ich wodzach. Rieger jest czechem austryackim, konserwatystą, taktykiem, poruszającym ostrożnie i delikatnie wierzchnie koła maszyny państwowej; Gregr jest czechem słowiańskim, przyjacielem Rosyi, liberałem, watażką politycznym i trybunem ludowym. Pierwszy chciałby wyprowadzić naród z zależności zręcznymi obrotami bez niebezpiecznego wstrząśnienia monarchii austryackiej; drugi lekceważy skrupuły, gardzi obawą, gotów rozbić zlepioną z różnoimiennych pierwiastków bryłę państwową i wyzwolić z niej swoje społeczeństwo dla związania go z inną całością, współplemienną.

Nie do nas należy sprawdzanie rachunków domowych między tymi przeciwnikami, zwłaszcza że nie moglibyśmy tego uczynić z należytą jasnością; zaznaczymy tu tylko wynik wiecu młodoczeskiego. Postanowiono tedy żądać: 1) państwowego wyzwolenia Czech, 2) kościoła narodowego i 3) koronacyi cesarza na króla czeskiego. Prawdopodobnie żadne z tych wymagań spełnionem nie będzie, ale jeżeli kropla wody, stale spadająca, drąży kamienie, tem pewniejszego skutku spodziewać się należy po energii uderzeń gwałtownych. Występujące tu pytanie jest prostem: czy rząd lub staroczesi zdolają bądź siłą, bądź przeciwdziałaniem zatamować ruch młodoczeski? Zdaje się, że nie, a w takim razie będzie on rósł ciągle w swem natężeniu, będzie ogarniał coraz szersze kręgi narodu i rozsadzał państwo coraz niebezpieczniej. Czy go więc hr. Taaffe w rozmowie z Riegerem nazwie szaleństwem, warcholstwem lub demagogią, liczyć się z nim musi. Ponieważ zaś konstytucya nie daje mu do zwalczenia tego prądu środków radykalnych, więc zdoła go osłabić tylko cząstkowemi ustępstwami. Za każdy łokieć swych żądań może czesi dostaną cal, za korzec — kwartę, ale w gardło smoka coś wpadnie.

Drużyna Riegera, która nie chce być przelicytowaną w żądaniach patryotycznych i obawia się stracić kredyt w narodzie, ma obecnie twardy orzech do zgryzienia. Po fajerwerkach Gregra trudno rozniecić takie światło, któreby nie wydało się bladem. Ogół zaś wszędzie jednaki: mniej zważa na to, co dlań zdobyć można, niż na to, co jego pożądliwości łechce. Niewątpliwie w obozie młodoczechów jest wielu zapaśników przywiązanych do wodza i sztandaru, ale również wielu takich, których tylko odurza zuchwałość i olśniewa błyskotliwość haseł. Mieć króla swego, kościół własny i samorząd, kogo to nie upoi! Że zaś są to dopiero cacanki, że pomiędzy słowem a ciałem, które ma z niego powstać, leży przedział olbrzymi — podpalona w swych uczuciach i namiętnościach masa nie rozważa. Żywioły, na których opiera się Gregr, naturą swą sprzyjają rozdmuchiwaniu zarzewi politycznych, więc buchają ogniem zapału dla watażki, który tyle wymaga i obiecuje.

Bomby padły już z szańców jednych — teraz mają odpowiedzieć drugie. Zobaczy-

my niedługo jakimi pociskami. Tylko nie spodziewajmy się bitwy rozstrzygającej, która prawdopodobnie nigdy nie nastąpi, a rozwidlony potok życia czeskiego popłynie w dal dwoma łożyskami.

SEJM GALICYJSKI.

„Dnia 10 września po nabożeństwie w katedrach obu obrządków marszałek hr. Jan Tarnowski zagaił pierwsze posiedzenie sejmowe."

Tak doniosły w poniedziałek telegramy wieczorne pism codziennych, tak donosiły i lat zeszłych ze zmianą tylko daty i nazwiska. Od poniedziałku tedy obraduje sejm nad wielu sprawami mniejszej lub większej doniosłości. Zdaje się przecież, że robi on to więcej dla zwyczaju, aniżeli z poczucia istotnej potrzeby owych obrad. Sami bowiem członkowie tej „powiększonej rady powiatowej," jak i galerya, jak i kraj cały widzą doskonale, że z roku na rok, pełen autonomicznych przyrzeczeń, hr. Taaffe, uszczupla zakres władzy prawodawczej sejmu, a więc zarazem i jego powagę. Dawniej za gabinetów centralistycznych bywało lepiej; dzisiaj środek ciężkości coraz bardziej przenosi się do Wiednia. Boć przecież wszyscy jeszcze pamiętają ów samowolny krok ministra Gautscha, który zamiast przedstawić cesarzowi do podpisu odpowiednią uchwałę sejmową, sam zarządził zaprowadzenie klas równoległych z językiem rusińskim jako wykładowym w gimnazyum przemyskiem. A takich smutnych przykładów możnaby przytoczyć daleko więcej.

Za winnych w tym względzie uważają powszechnie hrabiego Taaffe i jego towarzyszów, następnie zaś stańczyków i spokrewnionych z nimi podolaków pod wodzą zgrzybiałego, a upartego Grocholskiego, jako nie sprzeciwiających się zupełnie owym zamaskowanym centralistom.

Zaprzeczyć nie można, że pewną część tych ciężkich zarzutów poniosą na swych plecach owi winowajcy. Lecz znowu stańczycy i podolacy, choćby do nich doliczyć ich rodziny, wszystkich krewniaków i wszelkich „pańskich dziadów," utrzymywanych z funduszów Wincentego à Paulo, to jeszcze nie całe społeczeństwo. Poważny to wprawdzie orszak, lecz nie można uważać go za całą Galicyę. Mieszka tam przecież sporo innych żywiołów, które korzystając z dobrodziejstw ogólnych, obowiązane są także ponosić i wykonywać wspólne obowiązki społeczne.

Skoro wejdziesz na galeryę sali sejmowej w czasie posiedzenia, dziwny uderzy cię widok. Nawiasowo dodawszy, można tylko oglądać twarze czcigodnych ojców narodu i patrzeć, jak ruszają wargami. Perły zaś ich cycerońskiej czy demostenesowej wymowy nie dojdą waszych uszu; sala bowiem zbudowaną jest zupełnie nieakustycznie i stanowi piękny przykład gospodarki austryacko-galicyjskiej, wyrzucającej miliony za okno. Otóż z galeryi możesz widzieć potężne grono ogorzałych i wąsatych postaci, siedzących po prawicy; również liczna grupa zasiadła ławy środkowe, jedynie zaś po lewicy tulą się „wyklęte kozły liberalne" i szczupła garść rusinów. Słowem, przypomina to wszystko mało znaną anegdotkę o pierwszym parlamencie egipskim. Kiedy zebrali się notablowie tego kraju piramid i sfinksów, wielki wezyr takie dał im objaśnienie: „Panowie! Po prawicy siadają ci, którzy pragną z rządem żyć w zgodzie, w środku usiądą obojętni, po lewicy zaś jego nieprzyjaciele. Przed zaczęciem tedy jutrzejszej sesyi raczcie obrać sobie miejsca według upodobania." Nazajutrz trzeba było wezwać na pomoc wojsko, gdyż posłowie wszczęli najokropniejszą bójkę; każdy z nich chciał siedzieć po prawej stronie.

Otóż z przykrością musimy dzisiaj wyznać, że galicyjscy postępowcy, stosownie do swego położenia, sił i środków, jakiemi rozporządzają, nie wypełniają należycie swego zadania, nie noszą liberalnego sztandaru tak wysoko, jak przystoi to stronnictwu, świadomemu swego celu i gotowemu wszystko dla niego poświęcić. Rozumiemy bardzo dobrze ciężkie położenie galicyjskich postępowców. Wiemy, jaką zawadą na drodze jest ubóstwo mieszczaństwa, warstwy, na której opierają się postępowcy w innych krajach. Znamy krępującą swobodny rozwój dziennikarstwa, dwuznaczną i ciężką ustawę prasową, wysoce niesprawiedliwe przepisy wyborcze, mocą których większa własność ziemska ma zapewnioną przewagę w sejmie nad posłami z miast, i wiele innych, tym podobnych okoliczności. Lecz to wszystko nie powstrzyma nas od wypowiedzenia jeszcze raz stanowczego zdania: „Temu, że ministeryum lekceważy kraj i jego potrzeby, że gwałci obowiązujące ustawy, a dla zamydlenia oczów obdarza orderami lub tytułem hrabiowskim kilku panków, winni są nietylko konserwatyści, lecz i postępowcy."

Nie pomoże usprawiedliwianie się tego rodzaju: „Jesteśmy zbyt słabi, zbyt nieliczni, by módz zbudować i zdziałać coś dodatniego." Na to bowiem odrzec należy: „W takim razie tylko krytykujcie, lecz śmiało, odważnie i umiejętnie, a silnie przedewszystkiem każdy błąd przeciwnika. Jedynie taką krytyką, ciągłą i gruntowną, chwytającą każdy fałszywy krok drugiej strony, można wyzuć ją z podstaw, wyprzeć ze stanowiska i wykazać jej złe i samolubne zamiary."

Nie mogą i nie powinni postępowcy tłomaczyć się niedostateczną liczbą swych przedstawicieli w sejmie, czy w Kole polskiem. Niech zwrócą oczy nieco na Zachód, a ujrzą tam czterech (dzisiaj już ośmiu) młodoczechów, którzy odważnie sypnęli w twarz Riegera całą garścią mniej lub więcej usprawiedliwionych zarzutów. Nie poprzestali oni atoli na siedzeniu w jakiejś knajpce i na rozprawianiu przy kuflu piwa, nie zadowoliły ich nawet artykuły *Narodnich listów*, które, zdaje się, więcej mają prenumeratorów, aniżeli wszystkie dzienniki liberalne w Galicyi, razem wzięte. Młodoczesi postarali się i starają o bezpośrednie zetknięcie z wyborcami, z ogółem. Żywem słowem, skuteczniejszem aniżeli drukowane rozprawy, odmalowali związek staroczechów z feudałami i dzisiejszem ministerstwem, które cicho i milczkiem pragnie podkopać narodowy byt czechów. To też pomyślny skutek uwieńczył owe usiłowania.

Do powyższych rozgoryczonych uwag o galicyjskim postępie natchnęły nas następujące wieści.

Czytelnicy nasi pamiętają zapewne, jak z początkiem tego roku telegramami donoszono o pojawieniu się *Nędzy Galicyi* Szczepanowskiego. Owa książka miała być zapowiedzią nowej ery w dziejach tego kraju, widomym znakiem, że zbudziły się wreszcie żywioły postępowe, że tworzy się potężne stronnictwo, gotowe do pracy dodatniej i do stanowczej walki ze stańczykami. Pisano o zmianach, jakie wkrótce zajdą w Kole polskiem, rozszerzano mnóstwo wieści pocieszających. A dzisiaj? Już z początkiem lipca osławiony poseł Biliński dostaje wotum ufności w Stanisławowie; obecnie zaś przed paru dniami wybrano go również w tem mieście znaczną większością głosów do sejmu. Jednocześnie tak dzielna osobistość, jak Biechoński, przepada w innym okręgu, wybranym zaś zostaje niejaki hr. Mycielski, o którym lepiej nie rozpisywać się dłużej. Czyż to wszystko byłoby możliwem, gdyby stronnictwo po-

---

Strachy Pentelikonu.

...Tuląc ją do swych piersi w mroku wieczornym i całując w okrążone uśmiechem usta, rzekł:

— Teraz ci opowiem inną bajkę.

Pewnego dnia przybiegł do Aten młody pasterz z przerażającą wieścią. Pędząc zadyszany przez ulice, zwoływał przechodniów, którzy spieszyli za nim, strwożeni i ciekawi. Na rynku stanął, otoczony gromadą ludzi. Osypano go zewsząd pytaniami, ale on przez chwilę tylko dyszał i wskazywał na górę. Wreszcie, chwyciwszy kilkakrotnie ustami więcej powietrza, wyrzucił z nich:

— Ratujcie!

— Kogo? — jednogłośnie krzyknęli obecni.

— Ktoś tam wzywa pomocy — wybąkał chłopiec.

Badano go uporczywie, a on odpowiadał w urywanych i zagadkowych słowach. Nakonice, odpocząwszy i opanowawszy wzruszenie, przemówił:

— Pasłem owce na stokach Pentelikonu. Gdy stado zbliżyło się do miejsca, w którem otwarto nową kopalnię, usiadłem przy świeżo dobytej bryle marmuru i zacząłem na jej gładszej ścianie tym oto nożykiem rysować wizerunek koziołka. Nagle zdało mi się, że z rozwartego boku góry wyszło przeciągłe i żałosne westchnienie. Spojrzałem wokoło, ale prócz owiec skubiących trawę, żadnej żywej istoty nie dostrzegłem. Tylko wąwozem po gałęziach krzewów prześliznął się lekki wietrzyk, który jak gdyby roznosił im echo tej skargi. Wkrótce powróciła cisza, a ja zacząłem dalej wydłubywać rysunek. Zaledwie wszakże zrobiłem kilka nacięć, znowu, ale już silniej, rozpłynął się ten sam jęk, a równocześnie w mojej bryle coś drgnęło, niby kurczę w jajku. Zerwałem się spłoszony; wtedy cały Pentelikon zabrzmiał wstrząsającym i bolesnym głosem, w którym uszy moje zdołały uchwycić jeden tylko wyraz: Alkamenesie!

— Alkamenes? — powtórzyli zdumieni słuchacze. Co to znaczy?

— Odskoczyłem kilka kroków, głos ów ucichł, ale gdy bryła, na której wycinałem koziołka, stęknęła mojem imieniem, uciekłem i przybiegłem tutaj. Obywatele, tam coś straszy lub ktoś ginie!

Jedni kiwali głowami, drudzy milczeli w głębokiem zamyśleniu, inni zdradzali twarzami strach dojmujący, inni podawali coraz nowe rady, inni drwili szczerze lub sztucznie.

— Zapewne robotnik wpadł wczoraj do głębokiego dołu kopalni i wydobyć się nie może.

— Tak, dziś święto, nie pracują, więc nikt go nie słyszy.

— Ale czemuż woła cała góra?

— Atena wzywa dla nieszczęśliwego naszej pomocy.

— Niech go sama wydobędzie?

— Nie bluźnij, bo to niewątpliwie jakiś bóg obrażony domaga się ofiary.

— Darujemy mu ciebie i uspokoi się.

— Co za jeden ów Alkamenes?

Nie umiano objaśnić.

Tymczasem przybyli zwabieni zgiełkiem dostojnicy miasta. Wysłuchawszy opowieści, podzielili się w zdaniach. Archontowie utrzymywali, że chłopiec prawdopodobnie zasnął, a wziąwszy przywidzenie za rzeczywistość, bredzi; kapłani znowu, poparci przez starych areopagitów, twierdzili, że któryś z bogów gniewa się i że należy go koniecznie przebłagać.

stępowo posiadało silną, zwartą i karną organizacyę? Znowu trzeba wezwać je, by zaczerpnęło przykładów w Czechach, lub choćby u rusinów, tak blizkich sąsiadów.

Lecz szczytem politycznej nierozwagi byłby fakt, o którym niedawno poczerpnęliśmy wiadomość z *Neue freie Presse*. Tę gazetę więc czynimy odpowiedzialną za wiarogodność następującego doniesienia: „*Wszystkie* dzienniki galicyjskie przedrukowały manifest *Czasu*, w którym wypowiedziano przyjaźń biskupowi Strossmayerowi.“ Jeżeli to prawda, to w takim razie postępowcy galicyjscy poszli jak owce Panurga na oślep za przewrotnymi konserwatystami, którzy chętnie chwytają pierwszą lepszą sposobność do pozyskania taniej, a pustej popularności. Przedrukować taki pamflet — to znaczy zmazać jednym zamachem wszystkie zasługi tego wielkiego biskupa, który dla Słowiańszczyzny sam jeden więcej zrobił, aniżeli Galicya przez kilka wieków.

Pokazuje się tedy, że jeszcze nie wygasło tam plemię zaściankowej szlachty, wpadającej w szał na każdy krzyk: „Hejże na Soplicę!“

A. N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Taka cisza zaległa widownię polityczną, że w niej tylko odbijają się odgłosy podskoków rubla. Dawno już nie obchodził on takiego wesela: wart obecnie aż 2 marki i 11 fenigów. Ponieważ od słynnego kursu (160) w finansach Rosyi nie zaszła żadna zmiana, usprawiedliwiająca teraźniejszą podwyżkę, jest więc jasnem, że spadek wiosenny był sztuką czysto giełdową. Bo nawet w polityce nie wynurzały się przyczyny tej licytacyi *in minus*. Jeżeli przed paru miesiącami rubel zszedł prawie do półtory marki i miał służyć w Berlinie do wyklejania pokojów i parawanów, czemuż dziś stał się dla tegoż Berlina monetą odpowiedzialną? Na to możliwą jest tylko odpowiedź: kurs zimowy i wiosenny był zwykłym „schwindlem,“ nie dość wyjaśnionym i napiętnowanym. Nasze ptaki wędrowne, odlatując corocznie do *badów*, żałują niezmiernie, że ich papierki teraz dopiero odzyskały wartość; kupcy wszakże, zależni od zagranicy, dziękują losowi nawet za ten spóźniony uśmiech.

Nie będziemy czytelnikom powtarzali kłótni gazet o posiadanie rzetelnych odpisów odpowiedzi królowej Natalii na pozew króla Milana, gdyż sam fakt posiada dla nas bardzo małą wagę, a tem mniejszą różnicę w szczegółach dowodów procesu. Możemy bez podejrzeń uwierzyć *N. Fr. Presse*, że ona zdobyła kopię wiarogodną. Natomiast podkreślić trzeba ostre wystąpienia *Nordd. Allg. Ztng* przeciw byłej monarchini serbskiej. Służebnica kanclerska nie wdaje się w żadne spory teoretyczne, nie zabiera głosu bez celu praktycznego. Otóż w obecnym wypadku, nie sięgając wzrokiem głęboko i daleko pod jego pokrywę zewnętrzną, widzimy, że król Milan zjednał sobie poparcie w Berlinie. Plecy to szerokie i mocne, a wywołają one niewątpliwie odprawę w prasie ruskiej, która zrozumie, czemu p. Pindter zyskał takie „przekonanie“ i obciążył zarzutami królowę Natalię.

W dniu jej imienin spodziewano się rozruchów i dla stłumienia ich przygotowano w Belgradzie wojsko. Ale widocznie wygnana monarchini nie ma wielu zapalonych zwolenników, bo nawet o energiczniejszych pokuszeniach w jej interesie telegraf nie doniósł. Według jednej jego plotki król Milan wezwał Risticza do Abazyi, według drugiej — przypadkowo z nim się tam spotkał. Tak, czy inaczej, znowu powtórzyć musimy, że to nas obchodzi mało.

Zapewne dzięki szeptowi na ucho Crispiemu we Friedrichsruhe, spór między Włochami i Francyą nie zaognia się dalej i przeszedł w spokojną rozmowę dyplomatyczną. Zresztą Francya ma uwagę pochłoniętą Boulangerem, który dał nurka i dotąd nigdzie nie wypływa, ale niezadługo podejmie przerwaną walkę. Tymczasem Carnot i Floquet objeżdżają prowincyę i krzepią lub wskrzeszają ducha republikańskiego. Czy w obecnym rządzie dojrzewa myśl zrewidowania konstytucyi — nie wiadomo. Narzucił mu ją i niebezpiecznie wyzyskiwać zaczął Boulanger; odtąd coraz mocniej ima się ona głów sterujących państwem. Natomiast coraz szerzej szczepi się chęć wrzucenia między rupiecie spełnionej *ideé fixe* Gambetty — wyborów z listy, które on uważał za podwalinę Rzeczypospolitej a które okazały się groźnym dla niej podkopem. Powróciłyby więc wybory według okręgów.

Jakiś poczciwy austryak wynalazł nowy, jeszcze skuteczniejszy karabin, którego próby, wykonane przed tygodniem, dały „wynik świetny.“ Co sekundę z tego cacka może być zabity jeden człowiek; jest ono przytem lekkie i przyjemne. I na tym klejnocie cywilizacyi nasz wiek położy swą datę.

Ubiegłe lato było co się zowie porą swatów i zaręczyn. Następca tronu włoskiego oświadczył się o księżniczkę belgijską, książe Sparty (grecki) o siostrę ces. Wilhelma, nie licząc innych związków podrzędniejszego znaczenia.

Z papierów pozostałych po zmarłym Wilhelmie I ogłoszono ustępy pamiętników. Nie zawierają one ani jednego szczegółu ciekawego. Są to rozpamiętywania pobożne na temat „Gottes Fügung,“ dziękczynne modły i tłomaczenia wyroków Opatrzności.

Podróż monarchy niemieckiego do Wiednia i Rzymu jest już postanowioną i oznaczoną. Nastąpi na początku października a w Rzymie odbędzie się z powikłanemi formalnościami, które zaradzą temu, ażeby Leon XIII był syty i Humbert cały.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

4 września.

Ongi *Wiestnik Jewropy* był pismem liberałów, a ponieważ najoświeceńsza cząstka społeczeństwa szczyciła się tem imieniem, więc miesięcznik miał wziętość i poważanie. Za moralną płynęła moralna i materyalna korzyść, ta zaś ostatnia dawała możność wzywać do współpracownictwa najpoważniejsze i najświatlejsze umysły. Z czasem wszystko się zmieniło. Liberalizm zamarł, więc i *Wiestnik* schudł fizycznie i duchowo: stracił na objętości i na treści wewnętrznej. Jeśli stan taki potrwa dłużej, zejdzie biedaczek do grobu pocichutku, bez żadnych kataklizmów — ze starości, z wycieńczenia... Powieść Karenina „Musia“ w ciągu wielu miesięcy, niby najemna płaczka pogrzebowa, stękała na pierwszych kartach; a gdy nareszcie skończyła swe *zawodzenia*, zjawiło się pytanie: po co ją w świat puszczono?.. Ani pierza, ani mięsa — czyli wyraźniej: ani pierwiastków podnoszących, ani zasilających. A przecie na tych stronicach drukowano kiedyś utwory Turgeniewa, Garszyna... Czyż nie stać staruszka przynajmniej na marsz pogrzebowy?..

Weselej na świat patrzy *Siewiernyj Wiestnik*, prawda, młodziutki, dopiero ma trzeci

---

Uradzono nareszcie wysłać z pastuszkiem trzech wiarogodnych obywateli, którzy sprawdzą jego słowa na miejscu.

Poselstwo wyruszyło natychmiast, a za niem pociągnął liczny orszak ciekawych. Po drodze rozprawiano dalej o dziwnem zdarzeniu, które szybko rosło, przechodząc z ust do ust, pomnażane coraz nowymi dodatkami. Znaleźli się świadkowie, którzy kiedyś również słyszeli westchnienia Pentelikonu, ale uważali je za granie wiatru na zrębach skał. Z niepokojem serc zbliżała się rzesza do wskazanego miejsca.

Słońce stoczyło już swój krąg ognisty nad brzeg nieba, powietrze kołysało się lekkiemi falami ciepłych i wonnych podmuchów, trącając nieznacznie liście drzew. U podnóża góry pasły się rozproszone owce, które spostrzegłszy tłum ludzi, podniosły zdziwione głowy i zaczęły skupiać się w większe gromadki.

Rzesza stanęła i puściła słuch na zwiady. Oprócz wszakże lekkich szmerów nic nie mąciło ciszy.

Przewodnik zaprowadził wysłańców do bryły marmuru, na której rzeczywiście ujrzeli piękny rysunek koziołka. Ale i kamień milczał.

Rozwiązały się języki przeciw chłopcu: łajano go i chłostano kpinami. Poważniejsi radzili zajrzeć do otworu kopalni; lecz i stąd nie wyszedł żaden głos. Jednych ogarnął gniew, drugich — śmiech, innych — wstyd. Postanowiono nie wracać do miasta razem, aby uniknąć szyderstwa.

Wkrótce tłum się rozsypał, a pod górą został sam zakłopotany pasterz.

Naturalnie trzej wysłani obywatele nie zwołali zgromadzenia ludu, nie chcieli nawet odpowiadać pytającym ich po drodze o wynik śledztwa; uwiadomili tylko archontów, że chłopcu jakiś zły duch wyrządził psotę.

Ale zaledwie wiadomość ta, podszyta śmiechem, rozbiegła się po Atenach i uspokoiła umysły, gruchnęła inna — że pasterz przypędził swe stado, wystraszony nowymi jękami Pentelikonu.

Sprowadzono go do Areopagu, który zebrał się na nadzwyczajną naradę, i poddano szczegółowemu badaniu.

— Skoro znikli mi z widoku ostatni uczestnicy naszej wyprawy — mówił on — usiadłem przy bryle marmuru i zacząłem dalej rzeźbić mojego koziołka. Nagle, jak przedtem, kamień drgnął żywo, a z góry wypłynął ten sam żałosny głos. Wytężywszy uwagę, wyraźnie usłyszałem kilkakroć powtórzone słowa:

— „Alkamenesie, wyswobódź nas.“

Nie spałem, uszy mnie nie omyliły, klnę się na wszystkich bogów, a jeśli kłamię, niech sprawią, ażeby mnie nienawidziło wszystko, co kiedykolwiek ukocham.

Sędziowie zapadli w nastrój poważny. Wiara młodzieńca udzieliła się im widocznie; czuli, że jakaś tajemnicza prawda tkwi w jego opowiadaniu.

— I twoje imię brzmiało?

— Zdaje mi się, ale ale tego mniej jestem pewny, niż imienia „Alkamenes.“

Nikt z obecnych pod tą nazwą żadnego obywatela nie znał. Po krótkiej tedy naradzie postanowiono go szukać.

Wieczór ten przeszedł w Atenach śród wielkiego niepokoju. Snuto najrozmaitsze domysły i wskazywano najdziwniejsze przyczyny, a trwoga przez całą noc odganiała sen z powiek bojaźliwym. Na piersi miasta padła dręcząca zmora.

Nareszcie zaświtał ranek a z nim ukojenie dla serc: Alkamenesa odnaleziono.

(D. n.)

W. Okoński.

roczek — mleczne ząbki, delikatne, unikają twardego pożywienia, lecz zapewne i na to czas przyjdzie; organizm dziecięcia zdrowy i jeśli, podług ruskiego przysłowia, siedem piastunek nie skoszlawi go, nie okarmi słodyczami — może doczekać późnego wieku.

Dzieci miewają kaprysy: P. Zasodimskij pisał w miesięczniku o rzeczach potocznych i pisał nieźle; nagle wystąpił z powiastką— i runął. Chciał być podobno Garszynem, a zaledwie starczyło sił na p. Karenina...

Znany chemik, profesor Mendelejew wystąpił z poważną rozprawą o bogactwach ziemi Dońskiej; radzi on nie grzebać się w pokładach węgla bez systemu, lecz wziąć się do pracy należycie—natenczas przywóz tego produktu z Anglii będzie zbytecznym, owszem, ilość i gatunek węgla dońskiego dadzą mu pierwszeństwo przed innymi na wszystkich rynkach Europy. 25,000 wiorst kw. pokładu, dającego się przepalać na koks, uczyni nas lepszymi i mędrszymi — czego nie dokażą żadne rozprawy etyczne i filozoficzne... Zdanie, jak widzimy, trochę trąci szyderstwem, lecz w czasach ogólnego *racyonalizmu*, niedalekie od prawdy.

Przytaczając statystyczne dane, profesor zauważył, że z całej ilości dobywającego się ostatnio w Cesarstwie węgla, na Królestwo przypada około jednej trzeciej części; zestawiając zaś obszary, doszedł do przekonania, że w Królestwie wzięto się do rzeczy bardzo poważnie. Prawda, z początku w „przywiślańskim basenie“ dobywano niezdarnie, niszczono do 40% produktu; lecz dziś inaczej, dziś Królestwo może służyć za wzór, jakie mają być narzędzia i jak w tym względzie trzeba pracować.

Nowoje Wremia rozgniewało się na profesora, a to z dwóch powodów: naprzód — za szukanie wzoru u polaków; powtóre — za to, że p. Mendelejew zamieszcza swe rozprawy w *Siewiernym Wiestniku*, miesięczniku nędznym, zatłoczonym kobietami...

Juści *Nowoje Wremia*, skupiając u swego ogniska najlepsze siły, miałoby prawo popatrzeć z góry na współbraci, gdyby nie istniały owe zadania, które się nazywają etycznemi. Zresztą szanowna gazeta w tym względzie zgadza się zupełnie z p. Mendelejewem, że przedewszystkiem środki, a moralność sama przyjdzie. Tymczasem zaś, nie zważając na ową mądrość, która się mierzy liczbą prenumeratorów, *Nowoje Wremia* lubi tworzyć mrzonki. Tak np. radzi *Krajowi*, ażeby był organem tych polaków gubernij zachodnich, którzy wyrzekli się „mesyanizmu“ i zrozumieli, że tylko we wspólnem słowiańskiem ognisku spoczywa ich zbawienie. Dziwna rada!.. Naprzód dla tego, że *Kraj* pragnie być i jest tylko organem korespondencyj z „dodatkiem literackim. Powtóre *Nowoje Wremia* samo nie chce znać takich polaków, inaczej zaprzestałoby swego podżegania. Czas już chyba zrozumieć, że niezgoda rodzi smutne następstwa, że Bismark myśli po niemiecku, Leon — po włosku, a po słowiańsku — czy to po rusku, czy po polsku — nikt nie jest obowiązanym myśleć, oprócz słowian.

Upadek literatury (o czem już pisałem poprzednio), wyraził się jeszcze w jednem dziwnem zjawisku: W powiastkach fejletonowych *Now. Wrem.*, *Petersb. Listka* i innych, literaci „ubodzy duchem,“ tworzą, według francuskich szablonów, charaktery z jednej strony czarne jak otchłań, z drugiej promienne jak zorza; poczem zaczyna się starcie dwu wrogich obozów. Śród czarnych coraz częściej zaczyna się pojawiać jakiś Stanisław Stanisławowicz, lub Henryk Stanisławowicz — chytry, przebiegły, zdolny do wszelkich podstępów i podłości. A ponieważ w najbliższem otoczeniu chytrych wcale niema, wszyscy są „prostoduszni,“ więc „ubodzy duchem“ biorą sobie gotowego „chytrego,“ upadlają go całą siłą swoj duszy i rozpowszechniają, a to, o ile mniemam, w celu wzajemnego poznania się i bratniej zgody. W powieściach polskich spotykałem ruskie typy dodatnie, w ruskich zaś o polaków poczciwych — trudno; czem to objaśnić? Chyba *Nowoje Wremia* wytłomaczy.

Nieraz dają się słyszeć niezadowolenia, że finlandczycy zajęli pod swe panowanie Petersburg. Prawda, tego dobra jest tutaj wiele, lecz nic dziwnego: samo miasto stoi na odnogach Finlandyi i fin pracuje szczerze. Tak zwana „lekka żegluga parowa“ na przyległe wyspy od lat wielu była w ręku ruskich i ledwo tlała: dotąd zmieniała właścicieli, aż ostatni zastawił parostatki w banku; okazało się, że większa ich część jest w opłakanym stanie i nie ma żadnej wartości. Dziś owa żegluga przeszła do finlandczyków i ujawniła się tem, że zamiast 20 kop. przejazd na wyspy kosztuje tylko 10.

W każdej sprawie wykazuje się jedna i taż sama smutna prawda: krajowy przedsiębiorca myśli tylko o tem, aby w jaknajprędszym czasie zyskać najwięcej; o pracy, o ulepszeniu, o pożytku społecznym zapomina: „zerwać kusz“ i usunąć się— główna zasada. Nic też dziwnego, że poważniejsze firmy kupieckie i rzemieślnicze, a osobliwie fabryczne — najczęściej noszą obce nazwiska. Zresztą w tym względzie zdaje się i Królestwo nie może służyć za wzór!..

Warszawskie obuwie ma tu nie małą wziętość; rzemieślnicy są z tego niezadowoleni; lecz zamiast wzięcia się do pracy, zamiast podniesienia jakości wyrobów, starają się, ażeby zabroniono przywozu obuwia z Królestwa...

N. B.

WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE.

I.

Równocześnie z rozwojem przemysłu wzrastała potrzeba odpowiedniego wykształcenia u tych, którzy mieli kierować już istniejącymi zakładami i wprowadzać tam odpowiednie wymaganiom czasu zmiany. Uznano, że wiedza zda się nietylko do wyrokowania o losach ludzkości lub osobnika, do badania duszy i ciała panów przyrody lub do rozmyślania nad przyczyną i znikomością wszech rzeczy, lecz że i przerób każdego materyału idzie o wiele łatwiej i z mniejszą stratą w rękach lub pod okiem tych, którzy materyał ten zbadali.

Mamy wszyscy w żywej pamięci jeszcze owe czasy, kiedy oddać syna do wyższej szkoły technicznej znaczyło zapewnić mu byt. Szybki wzrost wielu zakładów przemysłowych zmuszał wyszukiwać zdolnych ludzi na pracowników i kierowników, a ponieważ podaż nie mogła tak szybko rosnąć, jak popyt, musiano ograniczyć się do minimum wymagań względem przyjmowanych.

Obecnie owe złote czasy minęły i wszyscy przyznają, że ukształceni technicy z wielkiem zaledwie trudem znajdują w kraju zajęcie i utrzymanie.

Fakt ten nie uszedł uwagi naszych opiekunów społecznych, a nawet starali się oni go wytłomaczyć, lecz, jak zwykle, nie zdołali wyjrzeć po za swe najbliższe otoczenie, nie zbadali, czy dolegliwość ta tylko nasze społeczeństwo dotknęła, czy też należy ją uważać za skutek jakichś ogólniejszych przewrotów. „Nadprodukcya inteligencyi“— wołają zwolennicy ekonomiskiej mądrości i gorzelańskiej wiedzy; „Fritz winien“ — stało się hasłem domorosłych szowinistów, którym od niejakiego czasu powodzenia niemców — „naszych kochanych niemiaszków“ spokoju nie dają. Bezpośrednio dotknięci klęską wreszcie sami nie wiedzą, czemu mają swą niedolę przypisać. Jedni uskarżają się na brak pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy, brak opieki po wyjściu z zakładów naukowych, inni odszukują przyczynę wszystkiego złego w protekcyonalizmie — kto nie ma znajomości, stosunków lub stosuneczków w świecie przemysłowym, nie zdoła się przecisnąć przez chiński mur tego świata.

Nie twierdzę bynajmniej, że powyższe poglądy są całkiem nieuzasadnione; wiem bardzo dobrze, że niemcy niechętnie wpuszczają natrętów z końcówkami *ski* lub *wicz* do swych świątyń fabrycznych, że technolog poszukujący pracy nieraz wyczekuje przez lata całe na miejsce, gdy w fabryce, obok jego mieszkania położonej, dozór powierzają zwykłemu robotnikowi „z powodu niemożności wyszukania na razie odpowiedniejszej osobistości.“ Nie wątpię też wcale, że synowie, osoby spowinowacone i skoligacone z właścicielami fabryk nie potrzebują mięszać się z rzeszą szukających pracy dla chleba, albowiem na nich czekają już suto zastawione stoły u ich krewniaków. Lecz przecież nie wszystkie nasze fabryki są w rękach *sohn'ów*, *berg'ów* i *stein'ów*, niewszyscy przemysłowcy posiadają tak liczne rodziny i tak rozległe stosunki, aby śród swego najbliższego otoczenia znaleźć mogli osoby odpowiednie dla wszelkich przeznaczeń; wreszcie nie każdy czeka z obsadzeniem próżnego miejsca, aż mu sam los stosowną do tego osobistość wskaże, a pomimo to słyszymy ciągle z jednej strony utyskiwania na brak pracy, z drugiej zas— poszukiwania specyalistów za pomocą ogłoszeń w pismach zagranicznych. Gdzież rozwiązanie tej zagadki?

Gdybyśmy nie zacieśniali naszego pola widzenia, nie uważali rodzących się u nas spraw za wytwór czysto swojski, wiedzielibyśmy, iż fakt podobny nietylko u nas się objawił, lecz że nawet w społeczeństwach z najbardziej rozwiniętym przemysłem wre ciągła walka między młodzieńcami, posiadającymi wyższe wykształcenie fachowe, a ludźmi, którzy się zżyli z zawodem, pozostając z nim w styczności od lat wczesnych; wiedzielibyśmy także, iż i tam przemysłowcy bardzo często stają po stronie tych ostatnich, albowiem—jak to niedawno wyraził Armstrong, kierownik fabryki w Elmsick — powodzenie człowieka zależy, według nich, w większym o wiele stopniu od jego zdolności do odpowiedniej pracy, niż od zasobu jego wiedzy; tymczasem obecnie zapychają głowy uczniów w zakładach naukowych faktami, a wcale nie dbają o wykształcenie ich zdolności.

Każde nowe pojęcie musi naprzód pokonać już istniejące nawyknienia i poglądy, zanim zdobędzie sobie ogólne uznanie. W tym wstępnym boju chybiony krok, niedokładność pierwotnego założenia stają się podwójnie zgubnemi: zniechęcają jeszcze bardziej do nowatorstwa i utrudniają późniejsze zwycięztwo, chociażby już wszystkie błędy zostały usunięte i wszystkie poprzednie grzechy zmazane.

Przy tworzeniu wyższych szkół zawodowych nie ustrzeżono się błędów i to obecnie ich wychowańcy odczuwają.

Ponieważ rozsadnikami wiedzy wogóle były uniwersytety, przy tworzeniu więc przybytków dla wiedzy stosowanej, wzorowano się na nich. Szczególnie wydziały chemiczne wyższych zakładów technicznych były całkowicie przeszczepione z odpowiednich sekcyj na uniwersytetach. Wychodząc z zasady, że przy przerobie prawie wszystkich materyałów powtarzają się te same działania, że destylacya np. jest równie potrzebną fabrykantowi nafty, jak gorzelnikowi, a gotowanie roczynów nie stanowi wyłącznego przywileju cukrowników, bo powtarza się i w warzelniach soli i w fabrykach saletry itd., połączono wszystkie podobne gałęzie produkcyi i utworzono osobną katedrę „chemii stosowanej“ lub „technologii chemicznej.“ Do wykładu powołano osoby, które często dymu fabrycznego nigdy nie wąchały, a zbudowały swoje gmachy wiedzy technicznej przy biurku. Nawet imiona, otoczone aureolą sławy zawodowej,

najczęściej za napisanie powszechnie używanego podręcznika, okazują się często w bliżkości tylko szperaczami i zbieraczami wiadomostek bieżących, bez żadnego ogólniejszego poglądu, bez tej rzutności, która przedewszystkiem cechuje ludzi ze zmysłem praktycznym i stanowi nieoceniony dar przedsiębiorczy. Tacy profesorowie najczęściej przechodzą wszystkie szczeble dostojeństw pedagogicznych — najpierw zostają asystentami, następnie docentami, a po wysłużeniu odpowiedniej ilości lat, nadzwyczajnymi i zwyczajnymi profesorami, radcami itd. Dla nich, rozumie się, nie stanowi to wielkiej różnicy, jaką piosnkę ze złożonych w ich mózgu zwrotek mają ułożyć; widzimy też często, że „ogólnie poważany" profesor technologii chemicznej zostaje mianowany profesorem chemii ogólnej lub teoretycznej i na tem nowem polu czuje się tyleż pewnym, co na dawniejszem.

Przy takiej wielostronności na katedrach, wcale nas dziwić nie powinno, że i studenta na ławach opanowywa mania wszechwiedzy i na pytanie fabrykanta: „Do czego pan jesteś uzdolniony?" — odpowiada często: „Do wszystkiego." Jakież zdziwienie, a często i oburzenie ogarnia młodzieńca, gdy się dowie, że to nie wystarcza, że w naszych czasach „wszystko" równoznaczne jest z „nic."

Może to niejednego gniewać, pozostanie wszakże faktem niezaprzeczonym, że w walce o byt „ukończony" chemik nie może dotrzymać pola nietylko ludziom, zaopatrzonym przez los w protekcyę, lecz nawet najzwyklejszym majstrom i gorzelanym. Piekarstwo i piwowarstwo są niewątpliwie zawodami, w których chemia pierwszorzędną gra rolę; przy pieczeniu ciasta, jak i przy warzeniu piwa, odbywają się procesy według ogólnych praw chemii, a jednak nie wiem, czyby który z dyplomowanych, odznaczonych, a nawet doktoryzowanych chemików zechciał wypić nawarzone przez siebie piwo, lub skosztować wypieczony własnym trudem chleb. Ogólne zasady chemii dają nam tylko możność nakreślić szkic przebiegu procesu, wynik zaś ostateczny zależy w znacznym stopniu od tysiąca okoliczności drugorzędnych, na pierwszy rzut oka prawie niedostrzegalnych, które zna każdy piekarczyk lub czeladnik piwowarski, a które są zupełnie obce nowowstępującemu do tych zakładów, choćby z ogromnym balastem różnych wiadomości.

OGNIKI SPOŁECZNE.

(Pątnicy).

Gdym miał dwadzieścia lat, gdy jeszcze, niezagłuszone cierniami ostów, kwitły róże w ogrodzie moich marzeń, śniłem niekiedy, ślęcząc nad historyą wieków średnich, o postępie ludzkości i lubiłem rozprawiać o tym przedmiocie z młodszym nieco kolegą, który się, podobnie jak i ja, za poctę uważał. Pamiętam, że pomimo zgody zasadniczej, jaką nas podobieństwo wieku i karmi duchowej natchnęło, różniliśmy się cokolwiek w poglądach. On, zajęty podówczas dziejami Wschodu i Grecyi, wierzył w bezwzględny, niecierpiący żadnych zawrotów i obniżeń, umysłowo-moralny postęp człowieka zbiorowego; mnie się znów zdawało, że w najlepszym razie — trzy kroki naprzód, a krok w tył robimy. On porównywał ten proces z pozornym biegiem słońca od wschodu ku południowi. „Tylko — dodawał — wszelki zachód i wszelka śmierć jest złudzeniem na wielkich życia obszarach." I wpadając w zapał deklamatorski, cytował Krasińskiego:

> Jawem życia, czy snem w groble —
> Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiośnie
> Kwiat niebieski, duch nasz rośnie —
> Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!..

Nie mogłem odmówić uroku tej młodzieńczej wierze w nieskończoność rozwoju; alem jej nie dzielił. Wyczytane w jakiejś książce, czy też w audytoryum, z ust profesora przejęte, porównanie postępu z linią spiralną, utkwiło mi w pamięci i przeszło w krew umysłową tak dalece, że je w końcu za własny uważałem pomysł. Droga, wijąca się około linii prostej, coraz większe zakreślająca koła, aby potem, po wielu milionach wieków, malejącymi stopniowo kręgami, do dalekiego podążyć punktu — była w moich oczach wyrazem niezachwianego dogmatu. Ileż to razy, w sporach koleżeńskich, ścierała się ona z ową figurą, wieczyście ku coraz to nowemu, coraz świetniejszemu południowi wschodzącego słońca!

Widmo linii spiralnej, z którem się marzenia łączyły ambitne, zgasło bezpowrotnie. Jeżeli mi je dzisiaj co przypomina, to chyba tylko widok... tiurniur stalowych, jakiemi drobna służba Merkurego częstuje przechodniów za Żelazną Bramą. Śmieszne to i smutne zarazem.

Czyż można śnić o umysłowo-moralnym wzroście stopniowym wielkich gromad ludzkich tam, gdzie myśli, wypowiedziane przed kilkuset laty, uchodzą dziś jeszcze, wobec areopagu oświeconych, za nazbyt postępowe; gdzie człowiek, biegając ustawicznie wkoło po ubitym deptaku, zawsze w te same doły wpada i ubiera się po dawnemu, wesoły, z narażeniem własnego zdrowia, w zgniłe, odziedziczone po pradziadach szmaty?..

Ale rozgadałem się niepotrzebnie, gdy rzeczywiście szło mi tylko o to, aby przybyłym z Częstochowy pątnikom powinszować... szczęśliwego powrotu. Już w kościele św. Ducha (jak donosi *Kuryer codzienny*) odprawiło się „dziękczynne" na tę intencyę nabożeństwo. Doznano bo też w ciągu podróży niemałych od nieba dobrodziejstw. „Powróciło ogółem (pisze wspomniany dziennik) 1070 osób — w stanie, godnym najwyższego współczucia. Szczególniej pomiędzy kobietami wywiązało się mnóstwo drobnych przypadłości, jak ból głowy, katar, kaszel, chrypka i okaleczenia nóg. *Dwadzieścia kilka wozów przez całą drogę literalnie zapełnione były chorymi.*" Chociaż nie wątpimy, że wyniesiona z miejsca świętego zdobycz moralna zanadto jest wielka, aby można było stawiać obok niej jakiś tam uszczerbek na zdrowiu, lub straty ekonomiczne, w każdym jednak razie i ta „powłoka cielesna" wraz z „mamoną," coś przecie warta. Jeżeli gwoli zbawieniu dusz pozwalamy sobie corocznie na ten arcykosztowny zbytek anachronistyczny, toć zamawiajmy uprzednio dla pielgrzymów jakie takie na stacyach gospody i zaopatrujmy się na drogę w to wszystko, co chorym i okaleczałym za środek leczniczy posłużyć może. Gdy zresztą każdy oddział wojska, każde więzienie ma swego lekarza, dlaczegóż nasza „armia zbawienia," na czas wędrówki jesiennej, tak wyjątkowo jest upośledzoną?..

(Chedery).

Żydowskie szkoły religijne, na mocy nowych przepisów, zostaną ostatecznie zreformowane w duchu rządowym. Od pewnego czasu czuwają już nad niemi naczelnicy dyrekcyi; ale ustrój ich wewnętrzny pozostawał dotąd pod wyłącznem niemal zwierzchnictwem kahału. Dziś ulegają one prawom ogólnie obowiązującej asymilacyi. Pozwolenie na otwarcie chederu wydaje kurator, za pośrednictwem naczelnika dyrekcyi naukowej. Przełożony szkoły, czyli t. zw. „mełamed," powinien znać język ruski, a jeżeli go nie zna, przedstawić wykwalifikowanego zastępcę. Uczniowie muszą słuchać wykładu języka państwowego i mówić nim przynajmniej w ciągu dwu godzin dziennie. Liczba wreszcie chederów, których lokale należytą mają się odznaczać czystością, nie powinna przenosić pięciu na 1,00 dusz ludności żydowskiej.

(Wiec ortograficzny).

Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiej z dawien dawna różne zaprząta głowy. Jest ona ważną dla pedagogów — dla publicystów, dla całego narodu; ale w tem sęk, jak ją rozwiązać. *Kraj* w nr. 35 poświęcił jej artykuł wstępny. „Jak niegdyś w Rzeczypospolitej panowała samowola możnych (mówi niepodpisany autor), tak dzisiaj język, własność publiczna, używany jest przez każdego, wedle jego fantazyi, niby krawat i fryzura. U nas to przecie miał miejsce dziwoląg, który — na pewno twierdzić można — nie pojawił się nigdy nigdzie, w żadnej literaturze, w żadnym języku. Gramatyk zalecał jedną pisownię, a używał innej, na skutek żądania wydawcy; owego zaś skłoniły do tego pretensye tych samych krytyków, którzy poprzednio sami nową pisownię zalecali." Trudno nie zawtórować jeremiadom miłującego swój język obywatela, zwłaszcza w tem miejscu. Pozwólcie, panowie, że odsłonię maskę. Owym wydawcą-arcydespotą był b. p. Antoni Lesman; autora zaś gramatyki, któremu hańbiące narzucono więzy, mam nieszczęście znać tak blisko, że się ani na chwilę ze sobą nie rozstajemy. Obiecuje on zmyć ze swego czoła plamę niewoli moralnej, skoro tylko... zostanie wydawcą.

Szanowny współpracownik *Kraju* w zbyt może zgorzkniałym a pesymistycznym tonie daną kwestyę porusza. Dobrze, iż jesteśmy meliorystami i do czegoś lepszego dążymy: ale nie należy znowu patrzeć na naszą ortografię przez zakopcone szkiełka. Jeden z uczonych, którego mimochodem autor w artykule swym cytuje (Jan Karłowicz), taką o niej, pięć lat temu, ze stanowiska porównawczego, wydał opinię: „Sprawa pisowni naszej wcale źle nie stoi; owszem, porównywając jej naturę, oraz pewne w niej niejednostajności i nieporozumienia z istotą i stanem wielu innych (np. francuskiej, angielskiej, ruskiej z jednej strony, niemieckiej i in. z drugiej), twierdzę, że stoi bardzo dobrze. Takich trudności, jak ustalenie pisowni i grafiki np. wyrazu niemieckiego *in der That*, zgoła nie zawiera..." I dojdźże tu do zgody. *Kraj* płacze niemal rzewnemi łzami nad Prokrustowem łożem ortografii polskiej, podczas gdy jeden z pierwszorzędnych konsyliarzów bardzo jest ze swej pacyentki zadowolony.

Bądź co bądź projekt zwołania wiecu do Krakowa lub Lwowa w tym celu, by zebrani miłośnicy mowy ojczystej wysadzili ze swego grona komisyę (coś w rodzaju ś. p. „delegacyi"), mającą wyrzeźbić (niewiadomo, na jak długo?), czy też jedynie dopomódz skrystalizowaniu się głównych rysów naszej pisowni — zasługuje w gruncie na poklask. Nim to wszakże nastąpi, mniemam, że możnaby tę sprawę prowizorycznie załatwić, śród szerokiego koła wszystkich czasopism polskich. Przyjąwszy za tymczasową normę, a raczej za „projekt do prawa" ortografię, jakiej się w swych wydawnictwach trzyma Akademia umiejętności w Krakowie, redakcye dzienników, tygodników, dwutygodników i miesięczników naszych, przystąpiłyby w dniu oznaczonym do głosowania (każda jedną tylko rozporządzając kreską), a większość stanowiłaby o losie kodeksu, uznanego już dotąd przez poważną korporacyę. Rzucam gałkę: wolno ją każdemu podnieść lub lekceważąco odtrącić...

Sławój.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGIA

(GUMPLOWICZA).

III.

Przejdźmy teraz do najważniejszych części *Systemu socyologii*. Jak wiemy, wieloliczebność pierwotnych hord stanowi dla autora jedno z głównych założeń. Przedstawiają one mianowicie najpierwsze wcielenie zasady syngenistycznej. Z ich zetknięcia się powstają późniejsze zawikłania dziejowe, w których, chociaż wspomniana zasada przyjmuje bardziej złożoną postać, lecz „pierwiastki socyologiczne" (tj. grupy, oparte na jednolitości interesów) w wzajemnem oddziaływaniu znajdują się zawsze pod wpływem tej samej siły — chęci wyzysku. W najprostszym przypadku i na najniższym szczeblu rozwoju instynkt ten wywołuje ciągłe walki pomiędzy pojedynczemi hordami — jedna napada na drugą, przywłaszcza kobiety, porywa jeńców... Później rodzi się przeświadczenie, iż praktyczniej byłoby wprządz zwyciężonych w jarzmo niewolnicze i zamiast chwilowego wyzysku stworzyć stałe źródła darmej pracy. Grupy syngenistyczne zaczynają być stale złączone z sobą. W dalszym jeszcze rozwoju wylania się stale osiadłe na jednem miejscu i złożone z różnorodnych grup zbiorowisko. Zagłębiając się w jego rodowód, widzimy, iż powstaje ono zawsze z opanowania jednych hord przez inne i w początkach jest panowaniem innoplemieńców nad innoplemieńcami. Stałość wyzysku zwyciężonych przez zwycięzców pociąga za sobą stałość samej organizacyi, umożliwiającej zwierzchnictwo jednych nad drugimi, wraz z utrwaleniem norm prawnych, które zresztą ukazują się jako słowne sformułowanie rzeczywistych stosunków panowania.

Zasada syngenistyczna, która na progu dziejów wcieliła się w oddziaływaniu hord, obecnie, w łonie państwa, występuje pod postacią kast, klas, warstw itd. W rzeczywistości są to odrębne społeczeństwa, już walczące, już sprzymierzone z sobą, ale zespolone w społeczeństwie zbiorowem wyższego rzędu. Walka pomiędzy hordami zamienia się na walkę pomiędzy kastami, stanami i t. d., lecz siła, rządząca zjawiskami socyologicznemi nie ulega przekształceniu. Zresztą dążność ta wywiera swe działanie i na zewnątrz państwa, chociażby w tendencyi zaokrąglania granic (tj. zdobywania nowych źródeł wysysania soków). W drobiazgowe skreślenie kół społecznych wraz z ich genezą nie będziemy się wdawali, ani rozpatrywali szczegółowo wywodów *Socyologii*.

Wojny ludów cywilizowanych są tylko odmienną postacią walk pierwotnych. Różnica zawiera się tylko w szczerości i otwartości postępków: hordy apachów czynią najazdy dla rabunku koni i osłów bez zapierania się pobudki, tymczasem cywilizacya osłania swe grabieże szatą ideologiczną — wielkością ojczyzny, szczepieniem kultury, zbawianiem pogan. Podobny widok przedstawi się oczom naszym, jeżeli wejrzeć zechcemy w przyszłość. Zasada syngenistyczna przybierze, być może, szersze rozmiary, gdyż jak z odrębnych hord powstały zbiorowiska państwowe, tak obecnie oglądamy grę czynników, dążących do stworzenia systemów państw. Lecz chęci wyzyskiwania i wynikające stąd walki nie ukazują końca... Pytanie teraz, jaką w tym splocie wypadków odgrywa rolę pojedyncza jednostka ze swymi stanami subjektywnymi? Tu autor jest w zupełności wyznawcą t. z. „materyalistycznego" pojmowania historyi. Idea jest jedynie następstwem istniejącego czynu; ukazanie się zaś w społeczeństwie pewnych poglądów — dowodem uprzedniego wywiązania się stosunków odpowiednich. Dotyczy to zarówno pojęć prawnych, jak i popędów moralnych. Instynkty moralne są niejako odtłoczeniem warunków życiowych w plastycznej naturze ludzkiej i zjawiają się jako uświęcenie istniejących stanów społecznych. W tem to znajduje wyjaśnienie zjawisko, iż wszystko stale powtarzające się człowiek uważa za słuszne i właściwe, potępiając wszystko, co niezwykłe. Taką zależność pomiędzy bytem społecznym a moralnością można skreślić zwłaszcza dla hordy pierwotnej. Bardziej złożoną tego postać widzimy śród państwa. Każde ze społeczeństw, składających się na nie (stany, kasty itd.) posiada własne potrzeby, z własną, stosownie ukształtowaną moralnością. lecz po za temi moralnościami klasowemi istnieje jedna, obowiązująca dla całości i najodpowiedniejsza dla utrwalenia panowania mniejszości nad większością. Z drugiej strony, zwyczaj wystarczał hordzie; w państwie jest on niedostatecznym wobec złożoności procesów społecznych. Samo życie wytwarza wtedy pewne normy postępowania, najdogodniejsze dla panującej mniejszości; zostają one określone w prawie. Zarówno więc moralność, jak i prawo w rozwoju społecznem, są zjawiskami wtórnemi, odzwierciedleniem ideologicznem czynów i stosunków konkretnych.

Oto rusztowanie socyologicznych poglądów p. G. Cokolwiekbądź możnaby powiedzieć o jego teoryi, niepodobna uczynić jej zarzutu, iżby usiłowała obłudnie maskować brudy dziejowe. Nie wierzy on w ułudę idei, bo zna ukrywające się pod nią podścielisko materyalne; nie ufa najszczytniejszym hasłom, gdyż widzi po za niemi drapieżne pazury. Osobiście nic nie mamy do zarzucenia tej części wywodów p. Gumplowicza; co najwyżej, tu i owdzie dodalibyśmy jeszcze jakieś słówko. Lecz nie wszyscy są tego zdania. Zresztą, wyłożona teorya państwa nie jest nowością w społecznoznawstwie, ale p. G. umiał jej nadać zgoła oryginalny wygląd. Otóż gdy dotychczasowi przedstawiciele wystawiali ją w widokach antypaństwowych, nasz socyolog obraca ją ku obronie porządku państwowego. „Patrzcie — zda się mówić — dzieje są jednym stekiem błota i nie mogą stać się na przyszłość niczem więcej, błoto bowiem zawsze będzie błotem!" Swem zachowaniem przypomina Zolę, a podobieństwo w moich oczach jest tak rażące, iż miałem zamiar obecnemu artykułowi dać tytuł: „Zola socyologiczny." Obaj analizują brudy, jeden — dziejowe, drugi — obyczajowe, z jednakiem przeświadczeniem, iż są one nieodłączne od natury ludzkiej. Szczególna rzecz również, iż obaj zostali daleko względniej przyjęci przez zasadniczych przeciwników, niż przez pruderyę tej grupy, której interesy uświęcają. Nie znam szczegółowo, do jakiego obozu należą np. przeciwnicy p. G. w Niemczech, lecz co do Zoli, z największem oburzeniem przyjął go obóz narodowo-liberalnego filisterstwa. Sądzę, że to samo zdarzyło się i pierwszemu, gdyż narodowo-liberalizm wymaga czegoś więcej, niż daje p. G. — mianowicie pozłacania brudów społecznych. Wobec doznanego zawodu, płynie potok już nie krytyki, lecz zwykłych łajań. Wracamy jednakże do teoryi p. Gumplowicza, mianowicie do pesymistycznego jej zabarwienia. Natura ludzka, zdaniem autora, jest kategoryą nieulegającą zmianie. „Ludzkość" (tj. pewne grupy rodu ludzkiego) zdobywa nowe wynalazki, lecz to nie przeinacza stanu rzeczy. Czy człowiek pływa po morzu w wydrążonym pniaku lub okręcie żaglowym, czy wreszcie w parowcu pokrytym blachą żelazną, jego natura zostaje dawną; posługuje się on jedynie nowymi środkami dla osiągnięcia starego celu: wzajemnego wyzyskiwania. Również i mózg ludzki nie przekracza określonej miary. Wynalazki nowoczesne (np. telefon) zgoła nie dowodzą wyższych uzdolnień nad działające przy odkryciu ognia. Wybitniejsze zdolności śród ludzi są jedynie udziałem nielicznych uprzywilejowanych, tymczasem gdy masy toną w umysłowej bezwładności. Są to niejako rakiety śród mroków nocy. Postęp ogranicza się do szczupłych kół i wraz z niemi ginie w katastrofach dziejowych. Peryodyczność stanowi zasadę dziejów — powstaje państwo, stwarza ono postęp w ciasnym zakresie ilościowym i potem upada. Zresztą, ponieważ niezbędnym warunkiem cywilizacyi jest jakakolwiek stałość bytu, przeto państwo, jako zorganizowana forma wyzysku, przedstawia układ, najbardziej sprzyjający jej rozkwitowi. Ukazuje się więc ona wraz z tem ostatniem i z jego rozprzężeniem musiałaby zaginąć.

O ile uprawnionym jest ten pesymizm? Rozpatrując pracę p. G., nietrudno zauważyć, iż znajduje się on w związku z dążnościami autora ku wykazaniu jedności społeczeństwa z resztą przyrody. Peryodyczność praw społecznych wraz z odrzuceniem postępu bezustannego, oraz twierdzenie o stałości sił socyologicznych są niejako przeniesieniem w sferę społeczną chociażby peryodyczności zjawisk kosmicznych ze stałością siły ciążenia *). Mniejsza jednak o genezę; zasadnicze pytanie polega na tem: czy rzeczywiście stałość owa i peryodyczność istnieją śród rozwoju ludzkości? Przedewszystkiem zauważymy, że jakkolwiek wyzysk stanowił dotychczas dźwignię dziejową, nie przedstawia wszakże jakiejś samodzielnej kategoryi, lecz jedynie szczególną, uwarunkowaną względami ekonomiczno-historycznymi postać funkcyonowania popędu samozachowawczego. Otóż organizm ludzki domaga się zaspokojenia właściwych sobie potrzeb z jak najmniejszym wydatkiem siły. Praca fizyczna jest koniecznością dla niego, lecz kiedy nie przekracza pewnych granic. Póki panowanie nad przyrodą jest tak nieznaczne, iż przedmioty zdobywa się drogą uciążliwej pracy, namiętności ludzkie muszą walczyć wzajemnie. Wyzysk jest najdogodniejszem wtedy wyjściem, dostępnem zresztą tylko dla silniejszych, zdolniejszych itd. Państwo, tj. zorganizowana forma wyzysku, otwiera po raz pierwszy w dziejach pewnym kołom możliwość wyswobodzenia się z pod jarzma uciążliwego wysiłku fizycznego i oddania się badaniom naukowym i filozoficznym. Ciemnota i nędza tłumów są więc w swoim czasie nietylko koniecznością historyczną, lecz i sprężyną postępu — środkiem ku ujawnieniu przyrody. Lecz w miarę poznawania tajników natury, „ludzkość" (mamy na myśli tylko pewne grupy, inne—według nas — są nieuchronnie skazane na wygaśnięcie przy niskim szczeblu kultury) może dosięgnąć takiego stanu, iż praca fizyczna zostanie sprowadzona do minimum dozorowania nad maszynami.

Egoizm, który był postacią instynktu samozachowawczego podczas niskiej wydajności pracy, okaże się bezużytecznym w walce o byt, zapanuje zaś solidarność jako konieczne następstwo warunków materyalnych. Inna sprawa, czy umysły tłumów dorosną do zajęcia takiego stanowiska; w każdym jednak razie jest widocznem, że nie chęć wyzysku, lecz popęd samozachowawczy stanowi sprężynę dziejów. Zresztą,

*) Zauważymy, że w świecie kosmicznym znamy jedynie ruchy w systemie słonecznym. Widzimy tu peryodyczność — ale ze stanowiska heliocentrycznego. Przytem kosmologia wyprowadza świat słoneczny z masy mgławicznej, rozproszonej w przestrzeni w jednej ciągłości. Fizyka zaś nowoczesna uczy nas, iż ruchem wszechświata rządzi prawo znane pod nazwą rozpraszania energii, które kiedyś winno całą materyę wszechświata sprowadzić w jedno skupienie nieruchome. Nowoczesna wiedza nie zna przeto peryodyczności w świecie kosmicznym, ani na początku, ani też ku końcowi.

za dowód może służyć istnienie śród ludzkości grup w rodzaju plemion, o których tyle rozprawia V zeszyt *Socyologii opisowej* Spencera. Weźmy chociażby todów. Żyją mlekiem krów, nie znając nietylko wojen i wyzysku, lecz nie posiadając najmniejszych oręży wojennych i nawet broni myśliwskiej. Gdzież więc podziała się owa właściwa stale naturze ludzkiej chęć wyzysku? Co zaś do umysłowości, należy chyba zupełnie zerwać z faktami biologii, ażeby nie uwzględnić tej prawdy, iż mózg oddzielny otrzymuje w spadku wszystkie ćwiczenia umysłowe, odbyte przez przodków. Wynalazek ognia, zgadzamy się na to, nie ustępuje odkryciu telefonu; lecz natomiast z całą pewnością możemy twierdzić, iż jego wynalazca nie dorósł do zrozumienia praw, rządzących prądem elektrycznym i ich sformułowania matematycznego. Wypadałoby chyba przyjąć, iż rozwój organiczny (którego dalszym ciągiem jest mózgowy, tj. umysłowy śród ludzkości) stanął, wydawszy człowieka. Zresztą p. G. w *Systemie socyologii* cofnął niektóre zbyt ryzykowne twierdzenia o stałości (np. o niezmienności ilościowej zaludnienia globu ziemskiego, patrz: *Walka ras*, str. 66). Jak od założenia stałości, sił wyzyskiwania itd. ocaliłoby go większe uwzględnienie danych biologicznych, podobnież od przyjęcia peryodyczności — zejście ze stanowiska historycznego na ekonomiczne. Z punktu historycznego widzi on jedynie powstawanie i upadek grup syngenistycznych, zwłaszcza państw i to przeważnie drogą podboju *). Co więcej, tę jedynę i stosunkowo jedynie zewnętrzną stronę życia społecznego podnosi do godności wyłącznego i podstawowego zjawiska. Zapomina, iż o podboju jednej grupy przez drugą nie może być mowy, póki ta ostatnia nie doszła do takiego stopnia wytwórczości, iż zaczęła wytwarzać nieco więcej nad niezbędne swe utrzymanie. Również, czy ujarzmieni zostawali zamienieni na poddanych lub na niewolników, zależało to nie od dobrej woli najezdników, ale od warunków ekonomicznych produkcyi. I formy własności (feudalizm, stosunki cechowe, najmictwo) zależą od tego samego rodzaju czynników. Z tego to punktu wypada rozpatrywać historyczne znaczenie wynalazków. Odkrycie ognia, wynalezienie telegrafów, przypuśćmy, wymagały jednako zbudowanych mózgów; ale skutki społeczne są zgoła inne. Tegoczesne ulepszenia rodzą zrzeszoną formę pracy wytwórczej, gromadzą niesłychane masy ludzi, przerzucają je z miejsca na miejsce, wywołują żywą wymianę myśli, stwarzając przez to masowe uświadamianie stanowiska człowieka w przyrodzie i społeczeństwie, oraz z konieczności wywołując nowe sposoby władania narzędziami pracy wraz z możliwością usunięcia przeciwieństw klasowych siłami przyrody. Słowem, „peryodyczność," tj. walka grup syngenistycznych nie oznacza zgoła ani tożsamości, ani też równoległości. Co więcej, jeżeli ograniczymy się do człowieka czwartorzędowego (są świadectwa, iż ród ludzki ukazał się już w epoce trzeciorzędowej), istnienie naszego gatunku będziemy musieli rozciągnąć do jakichś 200 tysięcy lat. Tymczasem nie posiadamy najmniejszych dowodów, iżby po za epoką historyczną (6—10 tysięcy lat) człowiek zdobył się na tak nieokrzesane twory techniczne, jak piramidy Egiptu lub cyklopiczne mury Grecyi bohaterskiej, albo tak stosunkowo niedołężne pismo, jak hieroglify. Postęp w łonie ludzkości bezwarunkowo istnieje, idąc żywiej śród jednych, wolniej śród innych szczepów. Za dowód może posłużyć chociażby ciągłe zwiększanie panowania nad przyrodą. Wobec tego, więcej już uprawnionymi od pesymizmu p. G. wydają mi się obrazy przyszłości, kreślone przez Spencera w *Biologii*. Za nimi przynajmniej przemawia okoliczność, iż zamiast na materyale historycznym, są oparte na uwzględnieniu biologicznych właściwości natury ludzkiej.

*) Jest jeszcze inna droga powstawania państw — „dyalektyka" ekonomiczna. P. G. przyznaje możliwość, ale przypisuje jej małe znaczenie, co zresztą znajduje się w związku ze zbytniem obniżeniem budowy społecznej przedpaństwowej.

Rozpatrzyliśmy zasadnicze punkty wywodów *Systemu socyologii*. Wszystkie wady podstawowe wynikają z małego uwzględnienia faktów biologicznych i ekonomicznych. Praca ta jest raczej historyozofią, aniżeli socyologią. Najsłabszą stronę stanowi właśnie część metodologiczno-przyrodnicza, najsilniejszą — historyczna. W każdym razie działalność naukowa p. G. zmusiła socyologię do liczenia się z jednem zjawiskiem: wieloliczebnością pierwotnych ognisk rozwoju historyczno - społecznego i przyczyniła się do utrwalenia zasady syngenistycznej wraz z materyalistycznem pojmowaniem dziejów. Chociaż przeto jesteśmy przeciwnikami wielu poglądów, wypowiedzianych w *Socyologii*, ukazanie się jej w języku polskim uważamy za pożądany nabytek dla naszego piśmiennictwa, tak ubogiego we względzie prac społecznych.

Ludwik Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Podręcznik, ułatwiający pisanie ćwiczeń — ułożyła Józefa Kamocka, b. nauczycielka gimnazyum rządowego i wyższych (sic!) zakładów naukowych w Warszawie.

Bardzo pracowita i zacnemi dążnościami ożywiona, choć daleka od gruntownej znajomości swego przedmiotu, autorka kilku podręczników, o języku polskim traktujących, przynosi w darze społeczeństwu nowy snop kłosów, na tej niwie zebranych. Ułatwić młodzieży zdobycie elementarnych tajemnic sztuki pisarskiej, bodaj bez pomocy nauczyciela, zaopatrując jednocześnie umysł w odpowiedni zasób poglądów — oto zadanie, jakie sobie pisarka wytknęła. Zasługuje ono na tem głośniejszy poklask, że w piśmiennictwie naszem czuć się daje dotkliwy brak podobnego przewodnika. Czy jednak autorka zdołała sprostać swemu przedsięwzięciu, czy jej nie uniosło za daleko wieszcze hasło — „Mierz siły na zamiary..." — zobaczymy.

Przedmowa sama nie bardzo pochlebne daje wyobrażenie o wartości dzieła. Już bowiem na drugiej karcie spotykamy okres nieprawidłowo sklecony. „*Zaczynam* (mówi pisarka, streszczając plan swej książki) *od początkowych zadań*, na zasadach gramatycznych opartych, *a mianowicie: a*) Dla przyzucenia dzieci do zastanawiania się nad odmiennem znaczeniem wyrazów, brzmiących jednakowo, *rzeczowniki, w liczbie p. podane, mają być użyte w liczbie mnogiej...* itd." Na czele sążnistego pseudo-okresu, gdzie miejsce średników zastępują kropki, niby sfinksowa zagadka, stoi słowo „zaczynam," gdy tymczasem widać z toku rzeczy, rozwiniętej w czterech działach (*a, b, c, d*), że autorka swój wykład elementarnych ćwiczeń piśmiennych nietylko „zaczyna," ale przeprowadza po stopniach i... kończy. Gdy zestawimy, czyli wyrazimy: „zaczynam od początkowych zadań, *a mianowicie*" — to łatwo zrozumieć, że ostatni wyraz koniecznie wywołać musi pytanie: *od czego?*.. Jest to błąd, którego można przebaczyć początkującej uczenicy, ale nie mistrzyni stylu polskiego. Potwornie też wygląda, zarówno pod względem formy, jak treści, drugi punkt (*b*) w tem wyliczaniu różnych stron, czy stopni ćwiczenia elementarnego. „*Dobieranie* jedno lub kilkoznacznych wyrazów (pisze p. Kamocka), na miejsce raz już użytych, nawet starszym ułatwi *ustrzeżenie się powtarzania* tychże (których?), gdy to koniecznem nie jest, a ma być harmonii *ich wysłowienia* przeciwnem." Trudno „w podręczniku, ułatwiającym pisanie ćwiczeń," dotkliwiej spoliczkować zasadę jasności i harmonii stylu. Nie jedyny to zresztą przykład. Cała prawie przedmowa jest takich pereł wiązanką. Ku poparciu swego twierdzenia, podkreślam szereg zdań na str. 9, zaczynający się od w. 14, gdzie fatalny zbieg rymów walczy o lepsze z natłokiem form imiesłowowych. Przy końcu tego pomnikowego wstępu obiecuje autorka „otworzyć" przed dziećmi „świat ducha, wskazać im coś więcej nad to, co okiem objąć można, aby świat materyi, przedstawiony w przedmiotach z niego czerpanych, nie pochłonął całej ich uwagi." Nic, zaprawdę, pożyteczniejszego dla narodu, który w takiem szczęściu opływa, takiemi bogactwami włada! Ukażujcie mu błękitną mgieł krainę, w której się dotąd zatapiać nie lubił, a oddalajcie od ziemi — bo jej ma za wiele, a poznał ją tak dobrze... Na szczęście autorka w książce swej dość szerokie dla świata widomego zostawiła pole.

„Ćwiczenia pierwsze," a w części i „drugie," uważałbym, podobnie jak „przedmowę" — za płód poroniony. W szeregu zdań kazano zmienić liczbę, przypadek, lub dany wyraz innym, blizkoznacznym zastąpić. Nie powstaję przeciw zasadzie, ale przeciw przykładom, o ile te duchowi języka bluźnią. Oto równianka... z niewonnych kwiatów: „*Jeden raz* byłem u ciebie na wsi, *a* nie kilka" (po polsku mówi się: „raz tylko byłem u ciebie, nie zaś kilka razy"); „Na drodze do Częstochowy jest *duży piasek* (czy tak duży, jak kurze jaje, czy — jak głowa dziecka?); „*Waga zboża* niedobrze oznaczona, jest niesprawiedliwością" (zdanie bez odpowiedniej interpunkcyi—niezrozumiałe, z interpunkcyą — prawie niedorzeczne); „*Śpiew* czyni większe wrażenie, niżeli muzyka" (czyż śpiew nie jest muzyką wokalną?); „*Księżyc* jest tylko jeden, więc nie można widzieć razem dwóch..?" (owszem, przez lunetę widzieć nawet można więcej księżyców: cztery — przy Jowiszu, osiem — przy Saturnie). W ćwiczeniu pierwszem autorka wybrane zdania powiązała w pary (np. *Wielka szkoda*, że nie znasz Ojcowa. *Niejedna szkoda* dotknęła naszych gospodarzy), podkreślając wyrazy, które się w danem znaczeniu odmieniają, nie odmieniają przez liczby, lub w odmianie tej różne przybierają końcówki. Byłoby to trafne i pożyteczne, gdyby w spisie zdań gramatykę i logikę ściślej uwzględniono.

W „ćwiczeniu drugiem" wyrazy, kursywą drukowane, mają być zastąpione innemi. Do tej części odpowiedni dołączono słowniczek. W porównaniu z rozdziałem poprzedzającym spotykamy pewien zwrot ku lepszemu. Podkreślamy jednak następne zdania: „*I* dziecko może zachorować" (czyż potrzebny tu wyrazek *i*, będący synonimem przysłówka *nawet*?); „Wielu ludziom zagraża *brak*" (czego? — rozumu, serca, zdrowia, czy pieniędzy?); „Z bławatków wiją się w lecie wieńce" (lepiejby było podobno użyć słowa w formie nieosobowej, aniżeli biernej).

„Ćwiczenia trzecie," (gdzie przymiotnik z rzeczownikiem, w kilku przypadkach użyty, ma posłużyć za temat do ułożenia jednego zdania rozwiniętego lub powiastki) mogą bardzo wdzięczną dla ucznia stanowić robotę. Należy tylko umiejętnie wysuwać jedno pojęcie z drugiego, bardziej dbając o rozumny wątek myśli, niż o formy przypadkowe; jeżeli zaś już koniecznie (jak chce autorka) w ten sposób ich się uczyć mamy, to po dokonaniu danej operacyi — szorstko sklecone opowiadanie oglądzić pod względem stylowym wypada. Przytoczymy jeden z obrazków, podanych, jako wzor, na

temat: „Ukochana babunia.“ „*U. b.* o szarej godzinie usnęła w swoim fotelu, a dzieci przestały się bawić, aby nie przebudzić swej *ukochanej b.*, gdyż całem sercem milowały swą *ukochaną b.* i nie przykrzyło się im siedzieć cichutko przy śpiącej, *ukochanej b.*“ Ubogie to, ale dość stosowne dla początkujących opowiadanie (ustne i piśmienne) z dwu wyrazów zręcznie wysnute, które, naturalnie, zbogacić można, wystawiając sobie drogą osobę w różnych względem wnucząt sytuacyach, uledz powinno w końcu ogładzie estetycznej. Gramatyka, rodzona siostra logiki, nie może lekceważyć stylu, który jest jej prawem dziecięciem. Potrzebę tę zresztą uznała doświadczona wychowawczyni w innym wzorze, p. n. „*Niewidomy* (sic!) starzec.“ Szkoda tylko, że błąd słownikowy, popełniony w mianowniku, przez całą odmianę wiernie powtarza. Wyraz *niewidomy* (podobnie jak: *niewiadomy, znajomy* itd.) jest jedną z nielicznych pozostałości imiesłowu biernego w czasie teraźniejszym, a więc raczej synonimem wyrazu *niewidziany* (*niewidzialny*), niż *niewidzący*.

W czwartym rzędzie pomieszczono „rozwijanie zdań prostych, przez dodanie wyrazów określających i dopełniających, i tworzenie z nich zdań złożonych, które jedną myśl stanowić mają.“ W szeregu tematów najtrudniejszym podobno do rozwiązania jest pierwszy: „Bóg jest panem świata.“ Autorka podaje pod nagłówkiem plan, a poniżej—wzór, czyli jeden z poprawnych, jak mniema, sposobów rozwiklania rzuconego ogólnika. Oto plan. „Określić przedmiot *Bóg* (terminologia, jak widzimy, nie dzisiejsza) i opowiednik *jest panem*; rozwinąć to zdanie w okres, wypowiadający wielkość bożą i piękność stworzonego świata.“ Rzecz dziwna, że nauczycielka prawie nie trzyma się w wykonaniu — ram podanych: zaczynając od określenia „świata,“ postępuje w kierunku odwrotnym, a pojęcia, zawartego w wyrazie „pan,“ nie rozwija dokładnie. Już to samo posłużyć może za dowód, że jest to temat jałowy — koło błędne, wir bez wyjścia. Wolimy już stokroć takie, jak: „Baranek się pasie,“ „Pies szczeka,“ „Róża kwitnie.“ I dziecko je zapewne woleć będzie; chociaż przy ich rozwijaniu umysł pracuje, a tam skarbnicę jeno katechizmową okradał...

„Ćwiczenia piąte,“ gdzie od ucznia wymaga się, aby każde z gotowych zdań „innym“ tylko „szykiem lub innemi wyrazami ułożył,“ ze względu na swą łatwość, trzecie powinnoby zajmować miejsce. Dalej następuje przerabianie wierszy na prozę, z *Podróżnym i kaleką* na czele. Znaną pod tym nagłówkiem bajkę Krasickiego należałoby, jak sądzę, ze względów pedagogicznych, nieco, ku danemu celowi, przerobić. Biedak spostrzega kalekę: lituje się nad jego losem i widząc, jak jeszcze względnie jest szczęśliwym, przestaje się skarżyć. Przewrót, jaki nastąpił w umyśle „podróżnego,“ powinien się żywo i dobitnie zarysować — nieoznaczoność charakterów i zmian sytuacyjnych nie pociąga ku sobie uwagi dziecięcej. Biedak zresztą, nieskarżący się na ludzi, jest zjawiskiem wyjątkowem... Proponowałbym więc zmianę w takim tonie: „Skarżyłem się na ludzi, skarżyłem na losy, gdy musiałem iść w drogę ubogi i bosy...“

W dalszym ciągu podręcznika idą kolejno: opisy, porównania, amplifikacye (w formie opowiadań i listów), rozprawy wreszcie na różne tematy (z planem i t. z. materyałem). Zbiór ten odznacza się wielką rozmaitością i pewnem bogactwem treści. Porządek w ustopniowaniu tematów, ze względu na stosunkową trudność lub łatwość przedmiotu — miejscami zachwiany; metoda — przeważnie syntetyczna. Błędów, głoszonych w imię idei klerykalno-optymistycznej, wyławiać nie myślimy; żmudna by to była i niewdzięczna praca. Zresztą poczucie sprawiedliwości wyznać każe, iż autorka, pomimo wywieszonego w przedmowie sztandaru, ziemią i przyrodą bardzo się zajmuje, i tylko od czasu do czasu w ton kaznodziejski wpada. W „ćwiczeniach jedenastych“ (najtrudniejszych) podaje ona, obok planu, t. z. materyał, który jest w gruncie planem, rozszerzonym częstokroć do rozmiarów szkicu. Szczegół to, jak mniemam, zgoła niepotrzebny — szkodliwy nawet; bo wtłacza w umysł dojrzewającego młodzieńca (lub dziewicy) gotowy już zarys, a pieszcząc wrodzoną skłonność do lenistwa, od pracy uwalnia myślowej. Odsyłacze do źródeł literackich byłyby tu najwłaściwsze.

Książka p. Kamockiej, jak widzimy z powyższego rozbioru, nie jest dziełem pomnikowem. Grzeszy ona tu i owdzie zarówno formą, jak treścią, zdradzając w znanej dobrze autorce, obok uczciwych dążności i wprawy pedagogicznej—niskie wykształcenie szkolne. Pomimo to, należy ona do nielicznych w tym rodzaju wydawnictw polskich, a u nas, w Królestwie, za jedyne zjawisko śmiało uchodzić może. Nie gardźmy nią więc, pomimo skaz i usterek, jakie ją plamią; kto wie, może w rękach dobrego nauczyciela wyda owoc setny i tysiączny.

A. G. B.

TEATR.

Melpomena na letniem mieszkaniu.

Ptaki niebieskie p. Zygmunta Przybylskiego mogą służyć za ciekawy przykład, w jaki sposób powstają u nas „sławni i znani“ literaci. Owe *Ptaki*, które doznały porażki we Lwowie, a nie zyskały nawet przychylnego szmeru publiczności krakowskiej, wodzonej za nos przez bliskich opiekunów autora, ogłoszono w naszych dziennikach, jako wzór doskonałości. Konserwatyści, wdzięczni autorowi za udowodnienie w *Wicku* i *Wacku*, że nauka prowadzi człowieka do wszystkich, nawet sodomskich i kainowych zbrodni, a głupota jeno go uszczęśliwia i przygotowuje do królestwa niebieskiego, zapowiadali cudy nad cudami. Zapewniano, że tym razem p. P., któremu zawsze zarzucano płytkość, szkicowość, skłonność do farsy, spoważniał, wstąpił na tory społeczne, szeptano nawet coś o niezmiernej odwadze cywilnej, z jaką miał wypalić „społeczne wrzody.“

Tymczasem ów trufel okazał się zwyczajną purchawką. Niezaprzeczenie budowa sztuki jest lepszą, aniżeli dawniej, lecz zawsze wychodzi na jaw brak jednolitego i systematycznego obrobienia całości; po dobrych epizodach następują sceny, bardzo słabe i wadliwe. Przyjrzyjmy się teraz owej drugiej stronie, owej nibyto społecznej tendencyi. Autor poruszył tutaj mniej więcej ten sam przedmiot, który Bałuckiemu posłużył do rozsnucia wybornej powieści p. t. *Pańskie dziady*. Chciał odmalować ową warstwę ludzi, którzy nic nie robiąc, żyją jednak kosztem łatwowiernych. Cudza kieszeń stanowi dla nich źródło nieprawych dochodów. Tu należą szulerzy, damy wątpliwej cnoty i inna tego rodzaju hałastra. Autor nader oględnie wyraża się o ich arystokratycznem zazwyczaj pochodzeniu, nie uwydatnił nadto w ich postępowaniu owej zuchwałości uważania się za czoło narodu. Inaczej Bałucki. Ten bowiem przeniósłszy swych bohaterów na grunt im właściwy, to jest krakowski, wykazał, że owych „niebieskich ptaków,“ jako swych powinowatych, żywi arystokracya z funduszów składanych przez łatwowierny ogół na prawdziwie biednych. Tu więc tkwił społeczny cel: a mianowicie ujawnienie, jak potrzebną jest kontrola nad składkami, przesyłanemi na częściowe choćby załagodzenie panującej nędzy. Samo zaś, że tacy wydrwigrosze istnieją, nie stanowi je[illegible] zasługi, gdyż o tem istnieniu k[illegible] dawna.

Publiczność poznała się na małej wartości sztuki. Belle-vue więc w dniach, kiedy dawano *Niebieskich ptaków*, nie oglądało zbyt wiele publiczności.

Alhambra wystąpiła z dramatem t. zw. mieszczańskim pióra p. Pawła Kośmińskiego. Śmiało powiedzieć możemy, że jest to najlepszy utwór, jaki w tym roku przesunął się po scenach ogródkowych. Wartość jego polega naprzód na trafnym wyborze wątku. *Walka o córkę*, tytuł, trącący nieco dawnym melodramatem francuskim, mówi nam z góry, że osnowa polega na przedstawieniu boju między człowiekiem, którego jedynym skarbem jest córka, a rozpustnikiem, silnym pełną sakiewką. Pewnego rodzaju trudności sprawiły, że przebieg sztuki nie tłomaczy się do[illegible]asno, a niektóre sytuacye wychodzą nienaturalnie. Znać przecież, że p. Kośmiński obeznanym jest ze sceną, jak mało kto z jego tegorocznych towarzyszów. Charakterystyka postaci miejscami wyborna: brukowy ulicznik Cwajnos, żywcem pochwycony z naszego bruku, korzystnie świadczy o obserwacyjnych zdolnościach autora. Prócz tego pisał on *Walkę* z realizmem, zbyt tu i owdzie, przesadzonym, świadczącym przecież, że zna owe warstwy społeczne, które na scenę wprowadził.

P. Klemens Junosza wystawił w Wodewilu czteroaktowy obraz p. t. *W Tatrach*. Wystawił... i jednym przykładem więcej potwierdził ów znany fakt, że powieściopisarz, a tembardziej humorysta w rodzaju Dickensa i Lama, złym bywa dramaturgiem. Nie tu miejsce wyjaśniać głębiej ową przyczynę. Inne prawidła estetyczne ma teatr, inne książka. Boć nie można zaprzeczyć, że w *W Tatrach* jest sztuką pełną dowcipów; są to atoli dowcipy wyrazowe, sprawiające wrażenie w czytaniu, a nie dowcipy sytuacyjne, plastyczne, wpadające w oko, a nie w ucho widza.

Belle-vue zadrwiło sobie z publiczności wystawieniem sztuki p. Reinsteina p. t. *Wszyscy powaryowali*. Nie zadamy sobie trudu samodzielnej sekcyi tego chaosu bredni, coraz to większych, powtórzymy jedynie wierszyk, kończący sprawozdanie *Kuryera codziennego* o tej sztuce (!):

„O Galicyo nieszczęśliwa,
Niegdyś mleko-miododajna!
W gospodarstwie zeszłaś na nic,
A w teatrze na Reinsteina...“

P. Reinstein bowiem sztukę (!) swą *osnuł* jakoby na tle stosunków galicyjskich.

Nic dziwnego więc, że p. Władysław Ciołek, rozporządzający logiką przeciętnego człowieka i niejakiem znawstwem sceny, napisał wcale niezły (w porównaniu z p. Reinsteinem) obraz dramatyczny p[illegible] *Wnuk Tumrego*. Jest to dalszy ciąg *Chat*[illegible] *z wsią* i *Dziewczęcia z chaty za wsią*, a wię[illegible] występują tu znowu do walki cyganie z ludnością, stale osiadłą na roli. Pełno efektów najgrubszego kalibru, śpiewów, tańców, wystrzałów, łez i innych okropności; to wszystko przecież rozsnuwa się przed oczami widza w logicznem następstwie przyczyn i skutków. I to dobre na te ciężkie ogórkowe czasy!

Nie przyniosły one nic nowego w tym roku. Żadne nieznane imię nie wystrzeliło na wierzch; p. Kośmiński bowiem już zeszłego roku zbierał laury, p. Ciołek (Gutowski) również od lat kilku zasila sceny ogródkowe. Dyrektorzy nie pokazali publiczności warszawskiej tak dobrze zorganizowanej trupy, jaką ongi miał Doroszyński; o starannej reżyseryi i mowy nie było.

Wśród aktorów kilka zaledwie jednostek wyróżniło się talentem i pracą. Do nich należą: pp. Chmieliński, Feldmann, Vinkler, Bolesławski, Trapszo; z pań musimy wy-

mienić: Wyrwiczównę, Majdrowiczową, Bolesławską i Różańską.

W tem już ostatniem, tegorocznem sprawozdaniu, przesyłamy całej drużynie szczere życzenia szczęścia w zimie. Do panów dyrektorów zaś mamy osobną prośbę: „Szanowni panowie, przekonaliście się obecnie, że sztuki najgłupsze nie są jeszcze najlepszemi w znaczeniu kasowem. Wybierajcie tedy na przyszły rok oględniej i baczniej rozróżniajcie plewy od ziarna. Jeżeli zaś nie podołacie temu zadaniu, i na to znajdzie się rada. Oto przybierzcie do swego boku sędziów, zaproszonych z grona ludzi, znających scenę i jej wymagania. Ci z pewnością dadzą wam niejedną dobrą wskazówkę i na lepsze poprowadzą tory.“

A. Witski.

POEZYA.

DUMKI NADDNIEPRRZAŃSKIE.

(Urywki).

I.

O, Dnieprze, Dnieprze, błękitny Dnieprze,
Rodzinna rzeko!
Gdzie dawne czasy...
Ej, gdzieś daleko...
Spłynęły kędyś na twojej fali
W nieznane morze.
Nie wrócić tego z drogi dalekiej
Co było wcześniej!
Zmarły te czasy... ale na wieki
Żyć będą w pieśni...

IV.

Słońce zaszło... Pręga krwawa
Na zachodzie płonie łuną,
Pod wieczorną rosą trawa
Błyszczy jak srebrzyste runo,
Step utonął w wielką ciszę;
Coraz ciemniej... uroczyściej —
Nawet wietrzyk nie kołysze
Posrebrzanej trawy liści.
Mgły się snują, pełzną cienie;
Coraz gęstszy mrok zapada;
Na wysokie nieb sklepienie
Wchodzi świetna gwiazd plejada!
Nocy! o, nocy stepowa!
Któż majestat twój wypowie?
Na twój opis niema słowa,
Niema dźwięków w ludzkiej mowie!
Jaki spokój!.. jak mi błogo
Patrzeć w te świecące zorze!
Cisza... nie ma tu nikogo,
Tylko step, ja... i Ty, Boże!
Na stepowym tym rozłogu,
Pod gwiaździstą tą oponą
Ja sam na sam memu Bogu
Otworzyłem swoje łono.

V.

Wije się droga przez środek pola
Między mietlicą;
Przy niej samotna stoi topola
Tuż nad krynicą,
Wicher topolą ciągle szamota,
Chyli ku ziemi
Jęczy nieboga, płacze sierota
Liśćmi swojemi.
Ej, po tej drodze niegdyś kozaki
Zbrojnie jechali,
Tu napoili swoje rumaki
I poszli dalej,
Poszli taborem gdzieś na pohańce
Wśród pieśni, wrzawy,
Długo ich w słońcu błyszczały lance
Z nad chmur kurzawy...
Ale odchodząc, gdy się żegnali,
Mówili o tem,
Że wkrótce, da Bóg, zdrowi i cali
Będą z powrotem,
Że tu przystaną, by użyć w cieniu
Miłej ochłody
Znów się napiją wmodrym strumieniu
Źródlanej wody.
Minął dzień... miesiąc... i rok po roku
Mija od wieka —
Topola codzień z rana do zmroku
Mołojców czeka.
Próżno przez stepy patrzy nieboga
W dal siną, mgławą:
Żaden nie wraca... ach, nawet droga
Porosła trawą!
Więc dnia każdego przelotne ptaki
Pyta topola:
— Powiedz, sokole, gdzie są kozaki,
Jaka ich dola?
Powiedz, żałosna moja ptaszyno,
Powiedz mi, czajko,
Gdzie Doroszenko z swoją drużyną,
Gdzie Nalewajko?
Lecz milczą ptaki, a wiatr, co górą
Nad stepem goni —
— „Nie wrócą,“ mruczy do niej ponuro,
„Nie wrócą oni!..“

Włodzimierz Wysocki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Naiwna wiara w potęgę „szóstego mocarstwa.“ — Zmarnowany opał lokomotywy społecznej i żółwie jej ruchy. — Wpływ prasy na kolej Nadwiślańską.— Skarga telegrafisty i jego rachunek. — Reporterya dla przyszłości.— Samobójstwa małoletnich.—Środki zaradcze w wychowaniu. — Topniejące przesądy. — Żądanie departamentu medycznego. — Badanie swobodne i niesumienne. — Przykład Darwina. — Kanalizacya konserwatyzmu właścicieli domów.

Są ludzie tak prostoduszni, że nam literatom i naszym artykułom przypisują potężny wpływ. Sądzą oni, że każdy redaktor — to mały Jowisz, który potrzebuje tylko umoczyć w kalamarzu swój stalowy piorun i cisnąć zeń na kogoś parę kropli atramentu, ażeby dotknięty gromem natychmiast zginął lub padł kornie na kolana. Dzięki temu złudzeniu odbieramy tysiące próśb, zleceń i skarg, których autorowie żywią niezachwiane przekonanie, że tylko od naszej woli zależy, czy cel ich pragnień ma być osiągnięty, czy też nie. Doprawdy najmniej śmiesznem, choć najtrudniejszem do zadośćuczynienia wydało mi się żądanie jakiejś niebogi, błagającej mnie listownie, ażebym pod początkowemi głoskami nazwiska skarcił publicznie pewnego młodzieńca, który przez dwa lata „trzyma ją w niewiadomości.“ Łatwiej bowiem podziałać na czyjeś uczucia, niż zasady, a zwłaszcza na rachuby samolubstwa. Prasa nasza, o ile nie uczy lub nie znosi nowin, przypomina mi „stowarzyszenie kiwających palcem w bucie.“ Sądzi i porządkuje stosunki polityczno-społeczne, daje rady, rozwija projekty, ogłasza wyroki, ale nikt ich nie słucha i nie spełnia. Wygląda ona jak lokomotywa, w której 99 procent materyału opałowego ulatuje przez komin z dymem a tylko $^{1}/_{100}$ porusza leniwie tłoki, nadające żółwi ruch kołom rozpędowym. Zwłaszcza od lat kilkunastu, kiedy zaczęto ją obficie ogrzewać dobremi chęciami, widzę nad nią olbrzymi obłok ich czarnego dymu, który rozprasza się w powietrzu. Ów zaś powolny ruch pociągu społecznego — to nieliczne i drobne jej pomysły, które urzeczywistniono, lub napomnienia, które poskutkowały. Gdyby przeczytać roczniki pism naszych z lat 10 — przeraziłibyśmy się ilością zmarnowanego... węgla. A skądże czerpiemy wytrwałość dla nowych usiłowań? Naprzód z wrodzonego wszystkim ludziom popędu do marzeń, do utopii, a powtóre z chęci pouczenia przyszłości. Niech instytucya, w którą ośmieliłem się kiedykolwiek rzucić spojrzenie krytyczne, nie sądzi, ażebym miał nadzieję ją poprawić. Bynajmniej, ja tylko sobie rozmyślam o jej pierwowzorze w krainie idej Platona lub też donoszę pokoleniom następnym, co za naszych czasów się działo. Przypuszczam, że podobnie skromną pretensyę mają inni, o ile należą do klubu „kiwających palcem w bucie.“

Wystarczy jeden przykład. Od kilku miesięcy wszyscy przyprawiamy o nożycach „oszczędnościowych“ kolei Nadwiślańskiej: mówiliśmy o usuwaniu urzędników, o przeciążaniu ich pracą, o lekarstwach wlewanych w garnki, o zakazie dróżnikom siania zboża itd. I cóż to wszystko pomogło? Nic— nożyce krają dalej i krajać będą, dopóki coś uchwycą. A kto wie nawet, czy ich nie wyostrzono bardziej właśnie wskutek nagan prasy?

Wyjaśnienie to rozczaruje zapewne telegrafistę owej drogi, który mi przesłał swą skargę, ale zarazem usprawiedliwi mnie z niemocy względem jego i jego towarzyszów losu. Żali on się, że ta grupa pracowników jest wogóle wyłączoną z awansów, że obecnie poświęcono ją na ofiarę „oszczędnościom,“ znosząc pensye wyższe, 450 i 550 rs., które pozostawiono jedynie kilku kończącym służbę, że utrzymano płacę najniższą 360 rs., za które trudno wyżyć, zwłaszcza że ją jeszcze obcinają: areszty sądowe, długi w kasie, kaucye, składki emerytalne itd. Rachunek miesięczny telegrafistów przedstawia się tak: areszt na pensyi rs. 7 k. 50, pożyczka z kasy rs. 5, emerytura rs. 1 k. 80, kaucya rs. 2 — razem rs. 16 k. 30, czyli do rąk biedaka dochodzi rs. 13 k. 70, za które nieraz, oprócz siebie, musi wykarmić żonę i dzieci.

Jak wiadomo, największy procent samobójstw — według dotychczasowej statystyki — przypadał na ludzi starych. Było to zjawisko bardzo naturalne i zrozumiałe. Dzieciom lub młodym nadzieja tyloma promieniami rozświeca przyszłość, że je tylko jakaś wyjątkowo czarna chmura rozpaczy zasłonić mogła. Starcom nie błyszczy z oddali tęcza nadziei, więc ich łatwiej grób w swe spokojne objęcia wabi. Od pewnego czasu coraz częściej słyszymy o samobójstwach ludzi młodych i dzieci. Co to znaczy? Czy uciekają z życia przed obawą służby w telegrafie kolejowym lub wyczekiwania na posadę? W każdym razie niewątpliwie promienie nadziei przygasły, na przyszłość ludzi rozpoczynających życie padły gęste mroki. Jakimże sposobem z rąk wydrzeć sznurki i rewolwery? W zakresie środków dostępnych dokonać tego można jedynie zmianą kierunku wychowania. Już nie szeptem, nie głosem, ale rylcem konieczność wypisuje w mózgach naszych tę prawdę, że powinniśmy przestać pchać dzieci nasze wązkim przesmykiem wiodącym do rozmaitych „biur.“ Zmiłujmy się nad sobą i nad pokoleniami następnemi, weźmy raz rozwód z tą naiwną myślą, że jedynym portem człowieka po za próżniaczo-spożywaną rentą jest urząd — bodaj telegrafisty lub kancelisty. Dla tych, którzy już dojrzeli, przedzierzgać się i przerabiać nie czas. Ale czas jeszcze ratować młodzież od tradycyjnych przesądów i manij, zwracać ją na drogę prac produkcyjnych, które dają jednostkom względne szczęście a krajowi bogactwo. Przed niewielu jeszcze laty farbiarzem był dla nas żyd małomiasteczkowy z niebieskiemi rękami; teraz wszakże już należy wiedzieć, że farbiarstwo jest wielką gałęzią przemysłu, któremu za granicą poświęcają się ludzie wykształceni i wielkie kapitały. Przodkom naszym można wybaczyć, że według nich producentem wytworów mlecznych godzien być tylko żyd pachciarz, który jednocześnie dzierżawił u nich ogrody owocowe; nam już w tę banialukę wierzyć niewolno. Jeśli koniecznie chcemy pozostać „francuzami północ-

cy," nie uczmy się od mistrzów rozpusty, blichtru, bezmyślnej paplaniny, noszenia jedwabnych lub wełnianych ogonów, ale pracy wytwórczej. Wyglądamy bowiem wobec nich z całą naszą francuszczyzną jak tresowane małpy, służące im do przedstawień w świecie; oni pobierają dochód z tych widowisk a nam dają tylko orzechy i daktyle, ażebyśmy nie schudli i chętnie pokazywali naśladowcze „sztuki."

Jak donoszą dzienniki, departament medyczny w Petersburgu zażądał od tutejszego urzędu lekarskiego objaśnień urządzenia przytułku Dzieciątka Jezus. Byłoby bardzo pożytecznem, ażeby, prócz owego urzędu, również lekarze nasi, obznajomieni bezpośrednio z instytucyą, jej mechanizmem i potrzebami opracowali rodzaj memoryału i przesłali go do departamentu, któryby tą sprawą się zajął. Ileż to pobożnych westchnień prywatnych i publicznych odzywa się na intencyę naszych podrzutków, których śmiertelność jest wprost przerażającą! Wiadomo każdemu, że ich przytułek nie posiada dostatecznych środków, że niedokarmiane dzieci umierają z głodu, że ofiarność społeczna okazałaby się dla nich wyjątkowo hojną, gdyby tylko wezwano ją o pomoc. Co uczynić należy — najlepiej rozumieją lekarze. W Towarzystwie tedy lub redakcyach swoich powinni przeprowadzić ten przedmiot przez gruntowną i wyczerpującą naradę, wyniki jej spisać w szczegółowym wywodzie i jako głos doradczy, jako materyał informacyjny przedstawić departamentowi. Naturalnie jestem przekonany, że ten mój projekt, jak wiele innych, dołączy się do zmarnowanego opału lokomotywy społecznej; podaję go jednak dla dogodzenia mojemu marzycielstwu i uwiadomienia potomności, co nam dolegało. Winienem ją również objaśnić, że nasze pisma lekarskie długo i szeroko piszą o nowotworach, wrzodach, ranach jednostkowych, ale starannie unikają chorób społecznych, nawet wchodzących w zakres medycyny. Całkowicie pogrążyły się w „przypadkach ciekawych," do których działalność domu podrzutków nie należy, bo zawiera przypadki znane.

Dotąd każdy, kto mógł opłacić patent, wynająć sklep, sprawić sobie stół, kasę ogniotrwałą, szyld i w oknie wystawić kilka monet — miał prawo zostać „bankierem." Obecnie ministeryum finansów (według *Mosk. Wiedomosti*) zamierza wprowadzić pewne „ostrożności:" samo będzie wydawało pozwolenia, zakreśli granice działań domów bankierskich wysokością posiadanego przez nie kapitału, ustanowi rewidentów ksiąg handlowych itd. Nadto pragnący sprzedawać papiery publiczne „na raty" będą musieli składać znaczne kaucye. Gdybym był takim „domem," wolałbym corocznie przejść raz suchą stopą przez morze Czerwone, niż przyjąć te warunki. Skoro wszakże zamiana jest tu niemożliwą, więc powinienbym „biedakom" ofiarować jakiś, bodaj najlotniejszy projekt. Nie radzę im jednak, dlatego, że oni sami sobie poradzą i to daleko skuteczniej, niż podrzutki, które umieją tylko ssać mleko, a gdy go zbraknie — umierać.

Szczęśliwy p. Ochorowicz, nietylko sam sobie dał radę, ale jeszcze znalazł wymownych obrońców. *Kuryer warszawski*, który pragnie być Pyladesem tego Oresta, co czas pewien rzuca na szalę opinii jakieś poważne nazwisko dla przechylenia jej ku przyjacielowi. W ostatnich tygodniach wydrukował dwa listy: Orzeszkowej i T. T. J. Oba one przeciwstawiają się pośrednio naganom dla znachora i walczą za „swobodę badania." Obie ręce, zdaniem mojem, podniosły chorągiew z tem godłem wcale niewłaściwie. W sprawie bowiem p. Ochorowicza nie chodziło o *swobodę*, ale o *sumienność* badania naukowego, która jest równie ważną, jak pierwsza. Między jego przeciwnikami z pewnością nie było ani jednego, któryby odważył się przesądzić kwestyę ostatecznie i zawyrokować, że hypnotyzm i magnetyzm nie mają żadnej wartości leczniczej. Ale wszyscy przeczyli, ażeby on tę wartość posiadał w „metodzie" p. Ochorowicza. Kto naprzód twierdzi, że mu jest obojętnym rodzaj choroby i żadnej rozpoznawać nie potrzebuje, a potem stawia dyagnozy, zdradzające zupełną nieznajomość elementarnych pojęć anatomii: kto z omyłek wykręca się sofistyką lub nieprawdą; kto świadomie rozszerza grunt nauki blagą i za nią każe sobie płacić; kto ciągle do sztukowywa wiedzę pozytywną zmyśleniami w celach osobistego rozgłosu i zysku, ten nie ma prawa skarżyć się na brak *swobody* a daje innym prawo oskarżania go o brak *sumienności* badania. Badanie to, jeśli ma być wartościowem, musi być ścisłem, a jeśli ma być ścisłem, musi ważyć każdy fakt z niezmierną dokładnością. Tymczasem p. Ochorowicz wystąpił u nas nie jako poważny uczony, ale jako sztukmistrz, który zamiast żądać najsurowszej kontroli, wywija się od wszelkiej, uważając ją za szykanę, który zarzuty odpiera drwinami, a od krytyki apeluje do sądu tłumów. Niepodobna jego zapewnieniom wierzyć — oto wina i powód nagan, jakie go spotkały. Gdyby on sam był surowym względem siebie, nikt nie byłby surowym względem niego. Do wypisów wprowadziłbym życiorys największego badacza naszej epoki—Darwina, ażeby dzieci uczyły się na tym wzorze sumienności naukowej. Jak ten wielki mędrzec starannie rozpatrywał każdy fakt, zanim go stwierdził; jak nie krył własnych wątpliwości o swych najbardziej uzasadnionych wnioskach; jak lękliwie wyrażał każde przypuszczenie; jak był okrutnym dla samego siebie! O tej cnocie naukowej p. Ochorowicz nie ma nawet przybliżonego pojęcia; sieje na *Kuryerowej* niwie puste frazesy i bałamuci ogół, że z tego wyrosną nadzwyczajne plony: przeczucia, domysły, malignę, ogłasza jako „nowe prawdy" ze stanowczością proroka, który już wszystko wie, tylko w rzeszę światło swe przelać potrzebuje. Czy to jest „badanie naukowe"?

Zarząd kanalizacyi dotąd jeszcze znosić musi przygryzki prasy za powolność robót, które dopradwy są dziełem rozleglejszem i wymagającem większego czasu, niż założenie rynny. Ale przez niektóre ulice już przeprowadzono kanały. I cóż? Właściciele domów nie chcą z nich korzystać i budować przykanalików, a uzbrojeni prawem do rynsztoków, bronią się tak rozpaczliwie, że aż magistrat musi im wytaczać procesy. Pocóż nam więc kanalizacya, jeśli tradycyjne rynsztoki tak zawzięta budzą miłość? Niech p. Lindley się nie spieszy, nic pilnego, musimy naprzód skanalizować konserwatyzm naszych kamieniczników.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Recepta dla pism rolniczych. — Korespondencye prowincyonalne w naszej prasie. — W Kaliskiem górują kobiety. — Mądrala i naiwność szlachecka. — Nowe banknoty powodem oszustwa. — Wychodźctwo do Ameryki. — Losy stolarza Muchockiego za oceanem. — Emigracya obrońców prywatnych. — Więzienia, jako szkoły zepsucia. — Środki zaradcze. — Przemytnicy.

Rolnik i hodowca otrzymał od jednego ze swoich abonentów długą receptę na pozbycie się bladnicy pism rolniczych i robienia ich pożytecznemi dla czytelników. Nie silcie się na traktaty naukowe, nie przepuszczajcie przez alembik filozoficznych krytyk teoryj agronomicznych, nie usiłujcie wskazywać niezawodnych środków podniesienia rolnictwa — powiada doradca — bo nie osiągnie się tego najlepiej napisanym artykułem. Kto z teoryi i praktyki wiadomości potrzebnych nie posiadł, tego pismo rolnicze agronomem nie zrobi. „Nam potrzeba, żeby organ taki był *żywą kroniką* przedsiębiorstwa i ludzi w niem pracujących, aby odzwierciadlało życie rolnika, stanowiło łącznik pomiędzy oddalonymi... Z praktycznych doświadczeń, dostarczanych współtowarzyszom pracy, wytwarza się suma danych, wzbogacających wiedzę ogólną. W tem zbiorowem współpracownictwie wytwarza się najpiękniejsza idea zbiorowego poczucia zadań i celów ziemiaństwa. Ci, którzy bezpośrednio z łona naszego przemawiać będą — ciągnie dalej autor — doniosą, czy kiełkuje śród nas idea stowarzyszeń, aby rozrosnąć się z czasem w potężny gmach społeczny. Czy blizki jest czas, w którym zrozumiawszy prądy chwili, rozbici dotąd i słabi, przeciwstawimy groźie wielkiego kapitału potęgę wielkiego rolnictwa?" Gdyby zapytujący mógł jakimś cudem rozpatrzeć dokładnie obecne położenie moralne i materyalne swych towarzyszów na roli, rozstałby się z nadzieją doczekania takiej chwili. Jakże mało jest tych bezpośrednio z waszego łona przemawiających publicznie, panowie rolnicy! Przeglądając od lat kilku systematycznie wszystkie pisma, dotąd spotykam się tylko z jednym p. Aleksandrem Jelskim, który odpowiada zadaniu sumiennego i pożytecznego korospondenta, o ile takim być można w naszych warunkach. To też pisze on niemal do wszystkich gazet, a nie rządząc się stronnością, chłoszcze nieraz dość ostro swych braci karmazynowych. Reszta — to garstka ochotników nieudolnej reporteryi. Gdy przeglądam listy z Płockiego, Radomskiego, Kieleckiego itd., wiem już z góry, że tam znajdę na wiosnę wiadomości o zasiewach, wylewie, przeplatane czasem szczególikami, niemającymi żadnego znaczenia. Latem: żniwa, deszcze, susze, grady, pioruny, pożary i — oj, oj! co będziemy robić dalej?! Jesień: orka, siejba, kradzieże, złe drogi. Zima: zawieje, mrozy, odwilże, wilki, zające, wyrąb lasu, bieda, ciężki przednówek się zbliża itd. Oto jest treść wszystkich prawie korespondencyj, drukowanych w ciągu roku. Rzadko gdzie się znajdzie krytyczne oświetlenie faktów, wierne, samodzielne podpatrzenie zjawisk drobnych, ale mających ogólne znaczenie. Jaka tego przyczyna? Czy brak ludzi zdolnych, czy powszechne niedołęztwo? Tak źle nie jest; każdy powiat z pewnością posiada jednostkę pośród rolników, która mogłaby w przeważnej części odpowiedzieć zadaniu pożytecznego korespondenta. Ludzie zaś ukształceni z innych zawodów (lekarze, adwokaci, nauczyciele itd.) dopełniliby kronikę prowincyonalną. Dzieje się jednak inaczej; nieraz już, szczególnie pisma prowincyonalne, wysyłały pokorne błagania, zaklęcia, prosiły tylko o materyał surowy, choćby z największem zaniedbaniem stylowem, ofiarowywały nawet zwrot kosztów. I cóż za skutek: żebraczek pozbyto się milczeniem, lub niewagą. W niczem prowincya takiej solidarności nie dowiodła, jak w tych wypadkach. Miałyżby troski życiowe oddziaływać tak narkotycznie nawet na tych, co jeszcze niedawno na ławach uniwersyteckich rwali się do czynu, roili o istnieniu nie dla samych siebie? Byłoby to smutne i haniebne... Chcąc oddalić od siebie takie przykre przypuszczenia, zaglądam do pierwszej lepszej korespondencyi z pod Dobry (w *Kaliszaninie*) i oto co znajduję: „Mieszkańcy okolicy tutejszej siedzą cicho, jak zając pod miedzą, każdy żyje dla siebie, nie łącząc się wcale ze swoimi sąsiadami, nie tak przez oszczędność, jak z powodu *ociężałości* i *ospałości.*" Tamże daje się spostrzegać fakt znamienny: ponad zniedołężniałymi mężczyznami górują kobiety. Większymi nawet majątkami zarządzają same, mężowie zaś są ślepymi wykonawcami ich woli. Wszelkie ważniejsze interesy w wielu tamtejszych posiadłościach ziem-

skich spoczywają wyłącznie na barkach niewieścich.

Za to męzkie głowy bywają bardzo... naiwne. W miejscowościach położonych bliżej granicy, obywatele ziemscy cierpią na wielki brak robotników, sprowadzają ich więc z Galicyi, rozumie się zapomocą pośredników (bez tego systemu szlacheic istnieć nie może). Niejaki Mądrala, przeczuwszy dobry interes, jął jeździć od dworu do dworu, przedstawiając się jako agent robotników, zobowiązujący się dostarczać z Galicyi pożądane zastępy żeńców. Powierzchowność jego wzbudzała zaufanie, więc dobroduszni właściciele pozawierali z nim umowy, płacąc mu po 40 rs od 100 robotników, jako zadatek i sumę potrzebną na sprowadzenie. Nabrawszy w ten sposób sporo pieniędzy, Mądrala umknął, a oszukani nietylko ponieśli straty w pieniądzach, ale narazili się na zawód w chwili, kiedy robotnik był najpotrzebniejszy.

Mniej się wydaje dziwną łatwowierność ciemnych włościan, oszukiwanych przy sposobności wprowadzenia banknotów nowego stempla. Oszuści wmawiają chłopom, iż 25-rublowy papierek prawie stracił swą wartość i że tylko przez współczucie i z litości można za niego dać dwadzieścia rubli. Szkoda, że zawczasu nie pomyślano o oświeceniu ludu w tej sprawie.

Przydałoby się ono i w sprawie wychodźctwa, które z niebywałą dotąd szybkością szerzy się po całym kraju. W Królestwie najbardziej jest zaatakowaną gub. płocka, szczególnie w powiatach pogranicznych. Niemałą tam przynętą dla ofiar pędzących na oślep za ocean są pokaźne sumy, przysyłane pozostałym ubogim rodzinom, przez szczęśliwych i przedsiębiorczych, którzy sprytem i zdolnością zdolali majątków się dorobić. Jedna tylko poczta rypińska odbiera w przybliżeniu 10,000—15,000 rs. rocznie z Ameryki. Zwrócił na to uwagę miejscowy gubernator i rozesłał do urzędów powiatowych, burmistrzów i policmajstra m. Płocka okólnik z następującym kwestyonaryuszem: 1) Czy wychodźctwo nie przyjmuje systematycznego charakteru. 2) Czy nie znajdują się w miejscowościach podejrzanych osoby, które powodując się nadzieją zysków lub innymi celami, namawiają włościan do wysiedlenia. 3) Jak zapatrują się na wyjazd do Ameryki włościanie i jakiego rodzaju przychodzą listy od emigrantów. 4) Jakie wogóle przyczyny powodują wychodźctwo? Nie wiem, czy będą zadawalające odpowiedzi i czy się po nich znajdą środki zaradcze, ale sądzę, że przedewszystkiem należałoby rozpowszechnić takie listy, jak Antoniego Muchockiego, stolarza, który przed trzema miesiącami wyjechał do Argentyny. Stanąwszy w Buyenos-Ayres z bardzo skromnym zapasem pieniężnym, naprożno kołatał do władz tamtejszych z prośbą o jaki przytułek i zajęcie. Przedewszystkiem stała mu na przeszkodzie nieznajomość miejscowego języka; władając jednak słabo niemieckim, mógł się dowiedzieć, iż żadne szczególne względy go nie czekają. Po tygodniowej tułaczce zaprowadzono go do t. z. centralnego komitetu emigracyjnego i tam przez tłomaczów zażądano, aby złożył wpisowe i na koszty 60 marek lub franków, a jeżeli zawakuje gdzie odpowiednie miejsce, zostanie zawiadomiony. Nie posiadał żądanej sumy, wzięto więc odeń ostatnie 35 fr., a resztę zapisano na dług, mający być zapłacony w razie otrzymania posady. Pozostawszy bez grosza, M. prosił o jaki przytułek; odpowiedziano mu na to, że komitet nie zajmuje się dobroczynnością. Biedak przez kilka dni utrzymywał się z żebraniny, aż nareszcie po wielu próbach przyjęto go do noszenia towarów. Oczekiwanej posady przez pośrednictwo komitetu jeszcze nie dostał. Chcąc powrócić do kraju, żyje chlebem i wodą, aby ze szczupłego zarobku złożyć fundusz na podróż. Dobrze *Gazeta rzemieślnicza* zrobiła, podając te szczegóły swym czytelnikom. Powinny również pisma ludowe skrzętnie notować takie fakty; tym sposobem mogą zastąpić dziesiątki „oświeconych“ mieszkańców wsi, niewychodzących po za obręb swych potrzeb powszednich.

Innego rodzaju emigracya objawiła się w Lublinie. Obrońcy prywatni przy sądach pokoju, skupiający się dotychczas w mieście gubernialnem, zaczynają osiedlać się w małych miasteczkach. Tym sposobem przy dobrej woli mogą zgnieść zabójczą działalność pokątnych doradców. Oby i młodzi lekarze poszli w ich ślady! Oczekiwanie po lat kilkanaście na wyrobienie praktyki w wielkiem mieście, gdzie „renoma“ zwycięża, nie przyniesie korzyści ani społeczeństwu, ani jednostce. Tylko osobniki o wybitnych zdolnościach na wierzch wypływają. Na prowincyi zaś średnio uzdolnieni mogą nieocenione oddać usługi.

Gazeta radomska przeraża się wzrastającą nadmiernie liczbą aresztantów w więzieniu miejscowem. Szukając przyczyn tego wzrostu, przychodzi do znanych powszechnie wniosków: ciężkie warunki bytu, zły przykład, wynikający z ciągłego obcowania z sobą osób uwięzionych, pozbawienie ich wszelkiego zajęcia i oddanie własnym myślom. Wiadomo, że przy dzisiejszym systemie więzienia są znakomitą szkołą zepsucia. Okolicznościowy przestępca ze słabym zarodkiem złych skłonności, staje się recedywistą, któremu tylko stryczek mógłby przynieść dobrodziejstwo. To też w Rosyi ludzie inteligentni, zdolni pisarze, zwrócili od dawna już uwagę na zgubny ustrój więzienny. Obok roztrząsań w artykułach dziennikarskich, pojawiła się tam literatura więzienna, jaskrawo malująca w formie powieściowej te czarne strony życia ludzkiego. Najskuteczniejszym sposobem byłyby kolonie robotnicze; w innych państwach coś podobnego istnieje; przestępca wychodzi z zamknięcia z nabytą znajomością jakiego rzemiosła i znajduje poparcie, ale biada mu, w razie powtórnego przestępstwa.

Jak u nas jest przyjazny grunt dla rozradzania się przestępstw, dowodzą fakty z okolic Aleksandrowa. Od dawna było tam rozpowszechnione przemytnictwo. Przed dwoma laty na linii pogranicznej powiększono znacznie posterunki strażnicze; pomimo to „towarnicy“ nie ustawali w pracy, nie zrażały ich pogonie krwawe, prowadzone na przestrzeni kilkuwiorstowej. Przemytnicy z pęcherzami wódki, zwykle za koszulą, ukrywali się nawet w biały dzień koło Ciechocinka. W stronach tych koloniści sypiali przy drzwiach i oknach otwartych, a konie chodziły samopas na łąkach w nocy. Osobliwością było, jeśli komu co zginęło. Od kilku miesięcy nastały czasy upadku dla przemytnictwa. Najzyskowniejsza kontrabanda — wódka pruska, przepadła z powodu znacznego jej podrożenia za granicą. Strażnicy pograniczni rzadko już gonią przemytników i robią zasadki na drzewach. Wprawdzie trzeźwość zaczyna się objawiać w okolicznej ludności wiejskiej, ale za to już podobno nie można zostawiać chat otwartych i puszczać koni w nocy samopas na łąki.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W uniwersytecie petersburskim, przed rozpoczęciem zajęć naukowych, rektor Władisławlew miał przemowę, w której między innemi oświadczył: „Usiłowania studentów skierowane być winny ku temu, aby wychodzili z uniwersytetu, jako wykształceni słudzy Cesarza i nierozdzielnej z Nim Rosyi. Wykształcony umysł wszędzie jest narodowy, u nas zaś, jako ruski, szanować winien przeszłość historyczną, a idąc czujnie z teraźniejszością, pojmować całą niemożliwość i szkodę pomysłów przekształcenia naszej ruskiej rzeczywistości według obcych szablonów.“ Rektor radził młodzieży, aby pracowała dalej nad własnem umoralnieniem, stosowała posłusznie własną wolę do wymagań przepisów uniwersytetu i strzegła kółek uniwersyteckich od zgubnych doktryn, w wypadkach zaś wątpliwych zachęcał, aby zwracała się po radę do przełożonych. W końcu zapewnił, że chcąc zabezpieczyć studentów od wszelkich nieprzyjemnych następstw niewłaściwego zachowania się, starać się będzie ujawniać i usuwać mogące wyniknąć nieporozumienia.

Próby oświetlenia elektrycznego stacyj dworców i pociągów odbywają się obecnie na kolei Petersburskiej.

Praca. Z chwilą otwarcia sal zarobkowych przy szpitalu wolskim, między innemi ułatwieniami dla biednych, chcących pracować, utworzony będzie przy tym zakładzie kantor, w którym robotnicy bez zajęcia, oraz poszukujący pracowników, znajdą pośrednictwo.

Wynalazek. Technolog francuski, J. Carpentier, wynalazł przyrząd — melograf, który umożliwia uchwycenie i przeniesienie na papier improwizacyj muzycznych na fortepianie. Przyrząd ten polega na zastosowaniu prądu elektrycznego i elektromagnesów.

Szkoły. Inspektor szkół m. Warszawy wydał rozporządzenie, że przełożeni szkół prywatnych nie mogą wydalać nauczycieli bez jego zezwolenia.

— Z powodu podzielonych zdań w radzie uniwersyteckiej, czy studenci drugoroczni mają płacić wpis według nowej normy po 100 rs., czy jak dawniej, po 50 — przedstawiono tę sprawę do rozstrzygnięcia ministra, tymczasowo zaś pobrano od nich po rs. 50. Gdyby nadeszła odpowiedź ministra przeciwna tej uchwale, studenci będą zmuszeni drugą połowę wpisu dopłacić.

— W Warszawie jest obecnie 103 zakładów naukowych prywatnych męzkich i żeńskich.

— *Warsz. Dniewn.* dowiaduje się, iż ministeryum oświaty wysłało do warszawskiego okręgu naukowego programy szkół realnych, odpowiednie do nowej ustawy, dla 1 i 2-ej klasy. Zmiany w szkołach rządowych i prywatnych obowiązywać będą od przyszłego roku szkolnego.

— Do uniwersytetu warszawskiego przyjęto nowych studentów 189, z których 155 wychowańców z okręgu warszawskiego.

— Wkrótce powstanie w Warszawie nowa szkoła rzemiosł dla kobiet (wyłącznie młodych panienek). Oprócz rzemiosł wykładane będą tam nauki według programu pensyj żeńskich. Donosi o tem *Kur. codz.*

— Projekt otwarcia kursów ogrodniczych przy Instytucie agronomicznym w Nowej Aleksandryi (Puławach) przedstawiono ministeryum oświaty. W razie zatwierdzenia, otwarcie nastąpi dopiero od początku przyszłego roku szkolnego.

— Szkoły rządowe w Petersburgu są przepełnione. Wiele młodzieży płci obojga musiało wstąpić do zakładów prywatnych.

Centralny komitet statystyczny gromadzi szczegółowe wiadomości o drobnym przemyśle wiejskim. Będą one przesłane do ministeryum dóbr państwa dla wskazania, który z przemysłowców takich potrzebuje zapomogi.

Monopol rządowy. Uchwała komitetu ministrów nadaje ministrowi skarbu prawo urządzać na Syberyi składy hurtowe do sprzedaży okowity i spirytusu. Skarb będzie kupował wódkę od właścicieli gorzelni lub też wydzierżawi gorzelnie miejscowe i sam pędzić będzie okowitę. Cena produktu, zawczasu ogłoszona, powinna pokryć koszty wyrobu, przewozu i administracyi, oraz akcyzę z doliczeniem procentów od ceny okowity. System powyższy dzienniki petersburskie tłomaczą tem, iż kilku właścicieli wielkich gorzelni zawładnęło całym handlem okowitą na Syberyi i nakładało niezmiernie wysokie ceny za swój produkt. Podobny monopol zaprowadzono także w gub. permskiej.

Ogłoszono ukazy o przywróceniu oddzielnych dla każdego powiatu zjazdów sędziów pokoju w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, o mianowaniu gubernialnych marszałków szlachty prezesami powiatowych komisyj włościańskich w gub. mohylewskiej, wreszcie o określeniu kompetencyi sądów w sprawach rozwodowych małżonków wyznania prawosławnego.

Dyfteryt (błonica) o bardzo złośliwym charakterze grasuje w gminie Nowa Iwiczna, w pow. warszawskim.

W Lublinie, jak donosi gazeta miejscowa, oddział Banku włościańskiego będzie otwarty jeszcze w końcu r. b. Cały personel przedstawiono już do zatwierdzenia władzy.

Weksle płatne w Cesarstwie i wystawiane w językach cudzoziemskich, przy inkasowaniu lub dyskontowaniu przez Bank państwa, musiały być, jak wiadomo, zaopatrzone w dokładne tłomaczenie tekstu na język ruski. Obecnie Bank i domy bankierskie, położone w południowych guberniach Cesarstwa, żądają, aby owe tłomaczenia poświadczane były przez rejenta, w przeciwnym razie ma się to odbywać na koszt interesanta u rejentów miejscowych.

Koleje. Ministeryum komunikacyi wyjaśniło, iż podróżnym, którzy nagle zachorują w pociągu i dalej jechać nie mogą, powinna być zwracaną cena biletu z potrąceniem należności za przejechaną przestrzeń. W wypadkach, jeśli podróżny nie jedzie dalej z własnej winy, opłata nie może być zwróconą.

— Projektowany na rok przyszły budżet kolei Nadwiślańskiej obejmuje znowu oszczędności na kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Zdrowie umieściło ciekawy artykuł w sprawie rozprzestrzeniania chorób zakaźnych przez wypożyczalnie książek. Pismo ostrzega, aby każdą książkę, wziętą z czytelni, starannie wytrzepać i oczyścić z kurzu przed czytaniem, kartek nie przewracać zwilżonym palcem za pomocą ust.

Telefony. Dnia 1 b. m. oddano do użytku publicznego komunikacyę telefoniczną między Berlinem a Dreznem. Opłata od każdej rozmowy, trwającej do 5 minut, wynosi markę.

Pojedynek odbył się na granicy holenderskiej między p. Thuillierem, redaktorem *Independance Belge*, a sędzią pokoju z Londynu, p. Lejeunem. Redaktor na miejscu padł trupem.

Wypadek na kolei. Pomiędzy stacyami dróg żelaznych południowo-zachodnich, Romanów i Olczanka, pociąg towarowy, przejechawszy most na rzece Teterowie, wykoleił się. Maszynista i nadkonduktor ulegli silnemu potłuczeniu, 13 wagonów rozbiło się zupełnie. Plant na przestrzeni 10 sążni był popsuty.

Bibliografia. Wydawnictwo Towarzystwa politechnicznego we Lwowie ogłosiło drukiem pracę p. t. „Wady i ulepszenia naszych pomieszkań."

— Dr. Romuald Pląskowski wydał, jako odbitkę z encyklopedyi, pracę „O hygienie ze względu na stosunki miejskie i choroby endemiczne."

— Towarzystwo popierania przemysłu i handlu wydało „Sprawozdanie meteorologiczne za październik 1887 r."

Uniwersytety chłopskie, czyli wyższe szkoły ludowe, istnieją w Danii od r. 1844. Założycielem ich był biskup Grundtwig. Z zakładów tych korzystają przeważnie dorośli. Szkół tych liczy Dania 70, wszystkie utrzymują się kosztem uczniów, opłata miesięczna wynosi około 30 kron, tj. 15 rs. W wielu lekcye odbywają się tylko podczas zimowego półrocza. W skład programu wchodzą: historya, geografia, literatura ojczysta i powszechna, starożytności skandynawskie, arytmetyka wyższa, gramatyka, geometrya, fizyka, chemia, ekonomia polityczna, prawoznawstwo, buchalterya, język angielski itd. Szkoła taka w Askow liczy 100 słuchaczów i 50 słuchaczek, uczniowie liczą od 20 do 40 lat. Pośród kobiet znaczną część stanowią dziewczyny na wydaniu, które sądzą, że wysłuchanie kursów najgodniej je do stanu małżeńskiego usposobi. Zadaniem szkół powyższych jest podniesienie umysłowego poziomu ludu.

Zmarli. Tadeusz Jerzy hr. Stecki na Wołyniu. Oddawał się piśmiennictwu i badaniom dziejowym. Drukował w pismach kilka obszernych monografij historycznych.

— Karol Meisner, jeden z wybitniejszych artystów wiedeńskiego Burgteatru.

Sprostowanie. W nr. 36 na str. 425, w szp. 3, w. 28 od góry, zamiast: „okazałoby się niezawodnie, doch die Kastrate klagten," powinno być: „okazałoby się niezawodnie, że doch die Kastraten klagten"; w. 38 od dołu zam. „przez wrażeń podobieństwa," winno być „prócz wrażeń podobieństwa"; na str. 426, szp. 1, w. 31 od dołu, zam. „Asiniaszu," winno być „Asiniuszu"; na str. 425, zamiast „rozkoszować się baranami," winno być „rozkoszować się kształtami"; na str. 429, szp. 3, w. 16 od góry, zam. „przesłany," winno być „przesiany," w. 1 od dołu zam. „niecnoty" — „niemoty."

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Сентября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.